CENA ZŁ 20

Okoński: Rozmowa z prałatem — Skowron: Diejowy taniec żagwi

CZYTELNIK

Odra
tygodnik

WROCŁAW

KATOWICE



NUMER 42 (204) — KATOWICE, WROCŁAW, SZCZECIN, OLSZTYN, DNIA 6 LISTOPADA 1949 ROKU — ROK V

FRIEDRICH WOLF

Co człowiek posieje

Znany niemiecki pisarz antyfaszystowski Friedrich Wolf mianowany został przez rząd Demokratycznej Republki Niemieckiej jej pierwszym przedstawicielem w Polsce. Urodzony w r. 1888 w Neuwied nad Renem, studiował medycynę i historię sztuki; w czasie pierwszej wojny światowej widzimy go na froncie jako lekarza batalionowego, później walczy po stronie robotników przeciwko korpusowi ochotniczemu Lützowa. Szeroko znany jest jako dramaturg. Po pierwszych swych dramatach „Der arme Konrad“ i „Kolonne Hund“ napisał „Cjankali“, który przyniósł mu rozgłos w całym świecie.. Dramat był grany przed wojną także w teatrach polskich. W r. 1933 udaje się Wolf na emigrację, z początku do Szwajcarii, później przez Francję do Związku Radzieckiego. W r. 1934 odbyła się w Zurychu prapremiera jego „Profesora Mamlocka“, sfilmowanego później przez kinematografię radziecką, sztuki, która była protestem przeciw rasizmowi i nazistowskim walkom z kulturą i ludźmi nauki. Poniżej przynosimy obraz pierwszy aktu pierwszego jego dramatu „Co człowiek posieje“, dziejącego się w pewnym miasteczku wschodniopruskim w lecie 1941, tuż przed napadem niemieckim na Związek Radziecki, oraz na wiosnę 1945 przed i po wkroczeniu oddziałów Armii Czerwonej. Poznajemy liczne typy niemieckie, uczymy się rozróżniania między bohaterami a zdrajcami i zbrodniarzami, staje przed naszymi oczyma najnowsza historia Niemiec, odarta z fałszywego blasku, ukazują się sprężyny zbrodni.

Friedrich Wolf jest jednym z laureatów niemieckich nagród narodowych, przyznanych z okazji uroczystości weimarskich ku czci Goethego przed kilkoma miesiącami. Po wojnie wydał dwa tomy zebranych dramatów (Aufbau-Verlag) i kilka tomów prozy. Jest czynnym działaczem demokratycznego Kulturbundu. (WISZ)

Osoby obrazu:

PANNWITZ, właściciel zakładu krawieckiego: Pannwitz, ubiory cywilne i wojskowe.
STARY ANDRZEJ, pracownik w zakładzie krawieckim.
WESTERNHAGEN, generał, na emeryturze, obecnie reaktywowany.
THILO, jego syn, porucznik-czołgista.
LIPPE, profesor gimnazjalny, Hauptsturmführer SS.
HERMINIA, jego żona.
KRANZ, pastor.
Dr FELD, radca sanitarny.

Historia świata to trybunał świata.
SCHILLER

Ceux qui subissent le mal, sont aussi criminels que ceux qui le font.
ROMAIN ROLLAND

I stał lud patrzając.
(Św. ŁUKASZ, 23, 35.

AKT I, OBRAZ I

Pracownia w męskim zakładzie krawieckim Pannwitza. W tyle okno z firankami. Z prawej otwarta wielka szafa z zawieszonymi na wieszakach ubraniami. Z lewej wejście, zasłonięte ciężką zasłoną z aksamitu. W środku pokoju dwa ruchome wysokie lustra, ustawione pod takim do siebie kątem, że można siebie równocześnie oglądać z wszystkich stron. Kilka manekinów z na pół gotowymi kamizelkami męskimi, jeden w surducie generalskim. Słomkowy fotel i kilka taboretów. — PANWITZ przymierza profesorowi gimnazjalnemu LIPPEMU jego nowy mundur Sturmführera SS, żona profesora czuwa nad tą ceremonią a STARY ANDRZEJ, z przerzuconym przez rękę ramieniem przymierzanego munduru, notuje uwagi szefa. Dzień 20 lutego 1941.

PANNWITZ *(krążąc wokół Lippego)*: Nikt nawet nie wspomni, że pan profesor kiedykolwiek był cywilem. Pan profesor jakby się urodził w mundurze.

LIPPE: Wyróżnienie to, kochany panie Pannwitz, nie dotyczy mnie samego. Naród, który nie rodzi się w mundurze, nigdy nie będzie zdolny do wywalczenia sobie prawa do życia i do postawienia na swoim *(podnosi nieco ramię)*. Wydaje mi się, że prawy otwór ramieniowy jest za ciasny.

PANNWITZ: Zrobi się natychmiast *(znaczy poniżej ramienia krąg kredą)*. Pan profesor wyraził życzenie, by ramię spływało po żołniersku, prosto?

PROFESOROWA: Panie Pannwitz, coś mi się wydaje, jakby mój mąż miał pod mundurem mały garb.

PANNWITZ *(ze zgrozą)*: Ależ łaskawa pani, tego rodzaju słowo nie istnieje w żadnym wypadku w słowniku firmy Pannwitz. Mundur leży jak ulał na szanownym biuście szanownego pani małżonka! Może pan profesor sam sprawdzi? *(ustawia skrzydła lustra)*.

LIPPE: Wydaje mi się, że plecy są w porządku.

PROFESOROWA: W porządku? *(ostro, prostując Lippemu barki)* Stój prosto, Wilhelm! Głowa do góry! Widzi pan, jakie fałdy są teraz z tyłu!

PANNWITZ: Łaskawa pani wybaczy, lecz naturalna postawa pana profesora...

PROFESOROWA *(władczo)*: Nie chodzi tu o „postawę naturalną“ ani o „pana profesora“, lecz o Hauptsturmführera SS Lippego. W takim wypadku nie zniosę żadnych garbów!

LIPPE: Nie denerwuj się, Hermino!

PROFESOROWA: Jeżeli chcesz wyglądać wiecznie jak gryzipiórek i jeśli nie mogą tu na to nic poradzić...

STARY ANDRZEJ: Na wszystko znajdziemy radę, Madame. Ale jeśli ktoś przez dwadzieścia lat obnosi swój garb i jeśli potem tłucze się go po plecach, by stał jak ktoś z pomnika...

PROFESOROWA: Kto tutaj stoi jak z pomnika?

PANNWITZ: Przerobimy plecy, Andrzeju.

STARY ANDRZEJ: O nie, nie, panie Pannwitz, każdemu swoje, my też mamy swoje zasady. Ja myślę, że jeśli ktoś ma w cywilu malutki garb, a potem nagle staje na baczność i na plecach powstają fałdy, wówczas stary Andrzej mówi, że to jest postawa nienaturalna; człowiek wytrzyma w tej postawie jakiś kwadrans, ale gdzieżby tak całe życie stać; a kiedy potem trzeba się wyprostować, to zaraz pękają szwy. Bo także i marynarka ma swoje zasady.

LIPPE: Słuchaj no, stary przyjacielu, coś pan wygląda na ogromnego filozofa, tylko, że pańska mądrość o naturalnych zasadach jest już mocno spleśniała. Dzisiaj powiewa inny wiatr i wkrótce zacznie co innego pękać, nie tylko szwy.

STARY ANDRZEJ: Czyżby znowu jakaś niespodzianka?

PROFESOROWA: Żeby pan wiedział, będą znowu krawczyki otwierały ze zdziwienia usta.

PANNWITZ *(poufale)*: O, rozumiem...

LIPPE: Co pan rozumie?

PANNWITZ: Pan profesor z pewnością wie o tym, że syn mój Dieter znajdował się na Zachodzie jako podporucznik w brygadzie pancernej. Wczoraj, zupełnie niespodzianie, pojawił się tutaj ze swoim pułkiem, bo akcja „Lew morski“ przeciwko Anglii została odwołana i zamiast niej...

LIPPE *(nerwowo)*: Niech pan da temu pokój! Niech się pan stara, by marynarka leżała prosto i trwale, i tempo, tempo! *(zdjął marynarkę)*. Śpieszy mi się! *(do starego Andrzeja)* Zrozumiano?

STARY ANDRZEJ *(odbiera marynarkę)*: A więc ma leżeć prosto! W jakim terminie?

LIPPE: Potrzebna mi jest najpóźniej za trzy dni.

ANDRZEJ: Do diabła, również i generał Westernhagen musi mieć swój mundur najpóźniej za trzy dni. Zdaje się, że pękać będą jakieś ogromne szwy, co?

PANNWITZ: No, niech pan idzie, panie Andrzeju, i trzeba, żeby do pomocy zabrał się a to jakiś porządny fachowiec. *(stary Andrzej odchodzi na lewo)*.

LIPPE *(ostro)*: Niech pan słucha, panie Pannwitz, gdy syn pański razem ze swą brygadą przerzucony został na granicę wschodnią, radzę panu nie popisywać się więcej przed światem swoją mądrością!

PANNWITZ: Ależ panie profesorze, każdy może zobaczyć przecież na własne swoje oczy, jak w ubiegłym tygodniu przychodziła tu dywizja za dywizją.

LIPPE: *(udając jego głos)*: No a akcja „Lew morski“ przeciwko Anglii... dlaczegoż to została odwołana? I zamiast niej, jaka to akcja ma nastąpić? Mój drogi, zdaje mi się, że pan powtarza mądrości pana radcy sanitarnego dr Felda!

PANNWITZ *(przerażony)*: Od czasu, gdy syn radcy znalazł się w obozie koncentracyjnym, nic mnie nie łączy z panem radcą. Skądżebym zatem miał się czegoś dowiadywać?

PROFESOROWA *(oglądając materiał na letnie ubranie, ułożony na półce)*: Tak, o tym wiedzą tylko niektóre koła. Tego lata pojedziemy zdaje się do innego uzdrowiska morskiego, niż do Sopotu. Panie Pannwitz, potrzebny mi jest elegancki, cieplejszy materiał męski. Na plaży w Rydze czy Petersburgu jest zdaje się chłodniej niż tutaj.

LIPPE: Herminio, proszę cię stanowczo!...

PROFESOROWA: I cóż takiego. Pannwitz będzie trzymał język za zębami, to on pierwszy przecież się wygadał. Ostatecznie jest nas dwoje przeciwko jednemu. Czy może mi pan, panie Pannwitz, służyć tym materiałem na strój plażowy?

LIPPE: O cenę to się już wcale nie pytasz?

PROFESOROWA: Nie bądź małostkowy, Wilhelm! Mamy dziś inne perspektywy. Jeśli gdzieś tam na nowych ziemiach zostaniesz kreisleiterem, jeśli będziemy posiadali jakiś mająteczek, to przecież nie zapomnimy o naszym krawcu nadwornym. Rozumiemy się, co, panie Pannwitz?

PANNWITZ: W zupełności! Łaskawa pani może w każdej porze rozporządzać moimi materiałami.

PROFESOROWA: Wobec tego, skoro już przy tym jesteśmy, chciałabym sobie jeszcze wybrać jakiś model jesienny i zimowy.

Odchylając zasłonę wchodzą generał Westerhagen w cywilu i syn jego, podporucznik Thilo.

GENERAŁ: Państwo wybaczą, ale nikogo w sklepie nie zastałem...

PANNWITZ: Moi chłopcy z pewnością wylecieli wszyscy naprzeciwko naszym czołgistom, panie generale.

GENERAŁ: Może przeszkadzam...

LIPPE: W żadnym wypadku, panie generale. Już po naszej przymiarce.

GENERAŁ *(kłaniając się)*: Łaskawą pani! *(przedstawiając)* To mój najmłodszy, Thilo. Wczoraj zupełnie niespodziewanie przybył do miasta ze swoim pułkiem. Ogromny ruch w miasteczku, czekamy na niebylejakie zdarzenia.

LIPPE: Sądzę, że pan generał nie będzie już musiał czekać zbyt długo.

GENERAŁ: Poprosiłem o reaktywizację i zmodernizowałem nieco swoje uzbrojenie *(podchodzi do manekina w mundurze generalskim)* Oto i ono. Mundur jeszcze z pierwszej wojenki. Thilo chciałby sprawdzić, czy wszystko według przepisów. My starzy zostaliśmy trochę w tyle.

LIPPE: Nie wątpię, że tym razem również i generała porwie wielkość akcji!

PREFESOROWA: Tak, my wszyscy już jesteśmy jednym wielkim płomieniem. Właśnie czynimy ostatnie przygotowania.

THILO *(do ojca)*: Słyszysz, co ci mówiłem, cały naród gotów jest jak jeden mąż!

GENERAŁ: Oby tylko Bóg dał, żeby tym razem poszło dobrze.

LIPPE: Któż może wątpić w to? Jeśli geniusz i dalekowzroczny umysł Führera zabierze się do tej rzeczy, wówczas sam Pan Bóg musi się zgodzić na wszystko. Pan generał pozwoli, że się pożegnam *(Lippe z żoną odchodzą)*.

PANNWITZ *(bierze mundur generalski i pomaga nałożyć go generałowi, który zdjął właśnie cywilną marynarkę)*: Wolno mi prosić najposłuszniej, panie generale? Pan generał, o ile to leży także w moich skromnych możliwościach, jest już gotów do wymarszu.

GENERAŁ: Jak ci się podoba moja stara zbroja, Thilo?

THILO: Zupełnie w myśl regulaminu, tatusiu! Gdy jeszcze pojawią się sprzączki na ordery i twój stary krzyż żelazny pierwszej klasy, wyglądać będziesz pierwszorzędnie, zupełnie po ludzku.

GENERAŁ *(uśmiechając się)*: A poprzednio w cywilu, kimże byłem?

PANNWITZ *(zaznaczając kredą nowe miary na mundurze)*: Pan porucznik chciał z pewnością zaznaczyć, że człowiek bez munduru prezentuje się, że tak powiem, nikczemnie, jak np. cygaro bez opaski lub butelka wina bez etykiety; butelka może przecież zawierać wodę, lub jeszcze coś gorszego.

GENERAŁ: Widzisz Thilo, taką butelką był twój ojciec!

PANNWITZ *(zmieszany)*: Ależ panie generale...

GENERAŁ: Już dobrze, Pannwitz. Wie pan jednak co, o ile Thilo jest strasznym służbistą, to najstarszy syn Manfred, który jest lotnikiem, ledwo przyjedzie na urlop, przebiera się natychmiast na cywila; nie zmitręży ani jednej sekundy w mundurze.

THILO: Tak tatusiu, bo Manfred toby najchętniej chodził z laseczką jak ci angielscy gentlemani-stratedzy.

GENERAŁ: Ci gentlemani, mój chłopcze, nie są dziś gorsi niż w roku 1917 na polach Flandrii; nasz „Lew morski“ wciąż jeszcze nie mógł ich dosięgnąć. Inna rzecz, że jeśli tak jak Manfred posiada się krzyż rycerski, jeśli było się ciężko rannym, można sobie przy okazji pozwolić na laseczkę.

THILO *(podrażniony)*: Jeno bez jakichkolwiek defetystycznych zapatrywań na naszą akcję na Wschodzie, wątpię bowiem, tatusiu, by zapatrywania te pochodziły od niego.

GENERAŁ: A od kogo?

THILO: Od owego więcej niż podejrzanego obywatela, którego dziś rano Manfred odwiedził.

GENERAŁ: Któż to taki?

THILO: Pan radca sanitarny dr Feld!

GENERAŁ: Cóż w tym złego, jeśli się odwiedza starego pana, który niejedną noc przesiedział na waszych łóżkach jako lekarz, opowiadając wam dla uspokojenia bajki i opowieści...

THILO *(wzburzony)*: A dziś opowiada nam inne historyjki, że jeśli pójdziemy na Rosję, może nam się nie udać.

PANNWITZ: Niesłychane! Teraz rozumiem, dlaczego zabrali mu syna do obozu!

THILO: A staremu dzisiaj chłopcy z HJ wybili szyby. Ja sądzę, że zanim rozpocznie się akcja „Barbarossa“, obowiązkiem naszym jest zamknąć gęby owym defetystom i zdrajcom.

PANNWITZ: Jak pan generał sądzi, czy w ciągu miesiąca uda nam się dojść do Moskwy i Petersburga?

GENERAŁ *(ostro)*: W pana własnym interesie uważam za właściwe udać, że niedyskretnego tego pytania nie słyszałem, panie Pannwitz.

PANNWITZ *(rozbity)*: Ależ oczywiście nie, panie generale, pan generał, rzecz jasna, nie słyszał tego pytania...

Z lewej wbiega szybko pastor Krantz, ciągnąc za sobą dra Felda. Dr Feld to człowiek 70-letni, pochylony, siwowłosy, z małą bródką. Ubrany jest w szary surdut i opiera się na lasce.

KRANZ: Tu może się pan na razie czuć bezpiecznie, panie radco. Odpocznie pan trochę *usadza go w fotelu)*. Pan pozwoli przecież, panie Pannwitz?

PANNWITZ: Jeśli wolno mi wtrącić jakąś uwagę...

KRANZ *(podniecony)*: Panie generale, musiałem użyć całego mojego autorytetu jako duchowny, by uchronić naszego starego doktora przed ekscesami rozwydrzonej młodzieży!

THILO: A może mógłby nam pan powiedzieć, co tak... rozwydrzyło tę młodzież?

KRANZ: Nie wiem, jaki powód dał do tego pan doktor; wiem tylko, że pan doktor uratował życie niejednemu z tych chłopców, że...

DR FELD *(powstając)*: Niech pan da spokój, wszystko to było kiedyś...

THILO: Dobrze, że pan przynajmniej to jedno rozumie, panie doktorze, że wszystko to było kiedyś. Dzisiaj żyjemy w innej epoce, w epoce wielkich wydarzeń, w niemieckiej epoce, której kształty i treść na następne tysiąc lat określa nasz Führer i każdy, kto się temu przeciwstawia swą lekkomyślną, tchórzliwą lub złośliwą paplaniną, zostanie zgnieciony, zniszczony!

DR FELD *(spokojnie)*: Możliwe, że zostanę zniszczony, boję się jednak, że nie będę jedyny.

THILO: Wariat!

PANNWITZ: Panie doktorze, wypraszam sobie stanowczo wypowiadania podobnych zdań w moim lokalu handlowym.

GENERAŁ: Musi pan zrozumieć, panie doktorze, że nie chodzi tu o jakieś prywatne poglądy, ale o poważny los naszego narodu.

DR FELD: Oczywiście, panie generale, chodzi o poważny los naszego narodu.

THILO: Z którego szeregów wykluczają się sami: niektórzy przyjaciele Rosji, zdrajcy i mieszkańcy obozów!

DR FELD: Jeśli pan, panie poruczniku, identyfikuje więźniów obozu ze zdrajcami, popełnia pan, moim zdaniem, omyłkę. A jeśli w dodatku myśli pan o moim nieszczęśliwym synie...

PANNWITZ *(zerkając za zasłonę)*: Na miły Bóg, niech pan milczy!

KRANZ: Panie doktorze, o tym przecież nie było mowy.

DR FELD: Właśnie o tym była mowa, nie prawda, panie poruczniku? Właśnie dlatego, że jako stary człowiek czuję zbolałym sercem, jak bardzo w chwili obecnej waży się los naszego narodu, jak bardzo mój syn zmarły w obozie...

THILO: Przy którym znaleziono bibułę komunistyczną...

DR FELD: Który odważył się popełnić błąd w tym, że uwierzył w pokojowe współżycie obu narodów, — tak jest, i właśnie dlatego, że widzę jak dzień po dniu napływają nad granicę coraz to nowe dywizje...

THILO: Może pan to jeszcze głośniej powie, co?

DR FELD *(coraz bardziej podniecony)*: Napływają, by otworzyć drugi front straszliwej walki... panie generale, pan pamięta chyba z pierwszej wojny, co to znaczy walczyć na dwóch frontach .. do tego jeszcze walka z nowym potężnym przeciwnikiem... panie generale, wystarczy trochę rozsądniejszych myśli, by sobie powiedzieć...

GENERAŁ: Panie doktorze, ja działam według rozkazu a nie podług rozumu.

DR FELD: Panie generale, obaj jesteśmy w tym wieku, że możemy sobie powiedzieć, iż najostrzejszy rozkaz nie pokona rozumu. Jeśli zaś naród zaczyna rozumieć, że musi zrezygnować z światła rozumu, wówczas...

Za oknem liczne głosy, krzyki, hałas.

PANNWITZ *(badając poprzez firanki ulicę)*: Mój Boże, cóż za zbiegowisko! Szukają pana, panie doktorze!

THILO: Teraz może sobie swoje przemówienia wygłaszać na ulicy!

KRANTZ: To byłaby pewna śmierć!

DR FELD *(Sięga po kapelusz i laskę)*: Moi panowie, 70-letniego człowieka śmierć odwiedza już tylko w charakterze przyjaciela.

PANNWITZ *(z pomocą Kranza wepchnął doktora do szafy)*: Mój Boże, dobre imię mojej starej firmy! Moi panowie, wszyscy zostaniemy wmieszani w ów skandal, jeśli nie...

Profesor gimnazjalny Lippe wchodzi szybko zza zasłony

LIPPE *(wołając za siebie)*: Natychmiast opuścić dom! Zaczekać na ulicy! *(do obecnych, podczas gdy hałas nieco ucichł)*. Moi panowie, przykra to sprawa, ale w jednym z domów przy tej ulicy ukrywa się dr Feld *(stając przed Kranzem)*. A może pastor mógłby nas poinformować, gdzie sterczy ta osoba?

GENERAŁ: Panie profesorze, myślę, że ściganie zbiegów należy do obowiązków innych organów państwowych niż pastora! Pozwoli pan zresztą, że skończę swoją przymiarkę!

LIPPE: Mocno pana generała przepraszam, jestem daleki od tego, by Go mieszać w tę całą sprawę. Pan generał pozwoli, że się pożegnam! *(odchodzi z faszystowskim pozdrowieniem)*.

PANNWITZ *(zdezorientowany)*. Mój Boże, co ja z nim zrobię? *(ściąga z manekinu jasną marynarkę sportową)* Może należałoby go jakoś przebrać?

DR FELD *(wychodząc z szafy)*: Moi panowie, nie zadawajcie sobie żadnego trudu. Pójdę sobie tak jak jestem.

KRANZ: A jeśli pana aresztują?

DR FELD: Nie zdradzę was, moi panowie, nie bójcie się o to. Nie mogę jednak zgnieść w sobie moich poważnych trosk i ostrzeżeń.

THILO: Ostrzeżeń?

DR FELD: Pan także, panie poruczniku, nie jest już dzieckiem, wobec tego pan chyba też rozumie, że ta olbrzymia koncentracja naszych oddziałów nad granicą wschodnią nie ma charakteru ćwiczebnego. Oczywiście, związani jesteśmy paktem z wielkim naszym sąsiadem. Ale raz już zerwaliśmy pakt, drąc go jak jakiś świstek papieru. Było to w roku 1914, nie prawda, panie generale? I niedobrześmy wtedy na tym wyszli.

GENERAŁ: Nie można porównywać tego co jest dzisiaj z tym, co było wczoraj.

DR FELD: Nie, bo tym razem wyjdziemy na tym o wiele gorzej.

GENERAŁ: Niech pan tak sobie gada a przegada pan własne gardło i głowę, panie doktorze!

DR FELD: Pan jest żołnierzem, panie generale, niechże pan pozwoli cywilowi, by w ważnych okolicznościach również i on dał głowę za swoje przekonania.

GENERAŁ: Jedyny przeciwko osiemdziesięciu milionom... Panie doktorze, to już nie odwaga, to czyste szaleństwo!

DR FELD: Byłoby oczywiście dobrze, panie generale, gdyby nas było sto tysięcy lub dziesięć tysięcy; byłoby dobrze, gdyby nas było tu dziesięciu, rozumnych i odważnych...

GENERAŁ: No, dosyć już tego!

DR FELD: Może jest nas dziesięciu, panie generale. Wówczas ja będę jednym z nich. A gdyby tylko był jeden, to ja nim będę! *(odchodzi na lewo)*

KRANZ *(zastępuje mu drogę)*: Panie doktorze, pan pędzi na pewną śmierć!

PANNWITZ *(śledząc ulicę przez okno)*: Ulica jest teraz pusta! Panie radco, pan mnie rozumie. Mam dla pana, jako dla naszego starego lekarza, same dobre uczucia, ale czasy dzisiejsze, moja egzystencja...

DR FELD: Rozumiem, rozumiem, rozumiem... *(chce wyjść)*

GENERAŁ: Może pójdę z panem i Thilo także?

DR FELD: Nie opłaci się, panie generale, bardzo panu dziękuję!

THILO: Tatusiu, mój honor i honor mojej rodziny nie pozwala mi...

GENERAŁ *(z namysłem)*: Oczywiście, mogłoby to mieć dość nieprzyjemne skutki dla naszej rodziny. Nadto naród nasz w chwili obecnej potrzebuje każdego doświadczonego oficera... *(niechętnie)* Czemuż pan otwiera usta, panie doktorze? Pan sam sobie nawarzył tego piwa! Jakże to w piśmie świętym jest, pastorze? Co człowiek posieje...

KRANZ: To zbierze!

DR FELD *(patrząc w dal)*: Tak, co człowiek posieje, to zbierze! *(nagle)* Pomyślcie o tym, moi panowie, pomyślcie o tym! *(nakłada kapelusz)*

KRANZ: Chwileczkę, doktorze, niech pan się uspokoi, jest pan za bardzo wzburzony. Gotów pan jeszcze mówić dalej na dworze. Chętnie bym z panem poszedł, ale ja sam nie należę do siebie. Pan rozumie, moi wierni mają do mnie pewne prawo!

DR FELD: Oby się pana gmina rozwijała i oby pan miał dobrych wiernych, pastorze! A teraz puście mnie, moi panowie, puście mnie do mojego syna... *(wychodzi, wszyscy robią mu przejście)*

PANNWITZ: Zdaje mi się, że całkiem zwariował!

KRANZ: Może nie należało go puścić samego?

GENERAŁ *(przytrzymując pastora)*: Spokojnie pastorze. Pan go także nie uratuje.

Na ulicy dziki wrzask, gwizdy i okrzyki...

KRANZ: Oni go zabiją!

PANNWITZ: Niczego innego nie pragnął. W każdym razie — MY nie mamy z tą sprawą nic wspólnego!

Z niemieckiego spolszczył **Wilhelm Szewczyk**

SUSANNE KERCKHOFF

Na powstanie Niemieckiej Republiki

(Fragmenty)

Susanne Kerckhoff należy do pisarzy najmłodszego pokolenia, Pierwsze wiersze drukowała mając lat osiemnaście i w r. 1937 uzyskała nagrodę pisma „Die Dame“ za najlepsze liryki. Poza tym jest autorką kilku tomów prozy. W okresie hitlerowskim nie uzyskała zezwolenia na wydanie swych poezji.

**Jak gorzko smakowało twe imię, gdy wyznawaliśmy je:
O Niemcy ukochane, pełne zbrodni i przekleństw,
jeden tylko nad wami sztandar powiewa: tęsknota,
oby najrychlej zmyć hańbę! Bez praw, podzielone,
Niemcy u stóp ludzkości, my zawsze byliśmy z wami.**

**Byliśmy z wami to znaczy, że dziś raduje nas
i dumę syci wierność, zgryzota i praca,
by wolność dokonana była i każdy swoje
czynił, by was odnowić i siebie też i całość.
Pięknie było choć ciężko nie wątpić ani chwili
ale ubóstwu wierzyć swemu i siłom własnym.**

**Nie baliśmy się okrzyku, który z warg buchał co dzień:
zbrodnią są Niemcy dzielone, o Niemcy, bądźcie jedno!
Czuliśmy zawsze, że słowa nasze nie były szczątkiem,
strzępem zdartego sukna, lecz teraz, teraz dopiero
widzimy, jak poganiały prąd dziejów i kształtowały
oblicze historii, bowiem wdychamy blask co nadchodzi
i z naszej powstaje woli, a słowo nasze nie krzyczy
już, lecz zamyka dostojnie sprawę wolności naszej.**

**Rząd ludu to znaczy, żeśmy wszyscy z dłońmi u władzy
i już nie złoto dowolnie kieruje nami po ziemi
i nie wytoczy krwi już z ciał mas bezbronnych nikt,
by Ford lub Krupp raz jeszcze rozdęli swoje dobra.
Rząd ludu, widzę — wszyscy uczą się głośno wokół,
ci co uczyli się wczoraj, dziś wiedzą więcej i lepiej
i jutro jeszcze szerzej zobaczą świat i nie ścierpią
żadnego już ucisku i zburzą trwanie w bezruchu.**

**Nasz jest ów dzień, co woła: Rząd to, rząd to niemiecki!
Niemcy oblubienicą świętej miłości: pokoju!
Treść przemian tych ledwo słowo moje ubogie wyjąka,
przyszłość zaś ledwo oko moje ubogie ogarnie,
lecz jedno przynajmniej pojąć, jedno ogarnąć trzeba,
żeśmy w ów dzień wspaniały ślub Niemcom złożyli wspólny:
wszystko dla ciebie, ojczyzno, — a ty świeć, pałaj ludzkości!**

Z niemieckiego spolszczyła **Zdzisława Kawkówna**



Międzynarodowy Dzień Pokoju przyniósł wiele dobrego w dziedzinie wzajemnych sąsiedzkich stosunków polsko-niemieckich. Nastąpiło zbliżenie polskiego i niemieckiego świata pracy, w Szczecinie gościła grupa kolejarzy niemieckich, do Frankfurtu nad Odrą zaś przeszedł przez most na Odrze z polskich Słubic pochód ze sztandarami i transparentami (na zdjęciu). Narody polski i niemiecki wiedzą, że granica pokoju, jaką jest linia Odra — Nysa, może stać się granicą zgody. Zależy to w pierwszym rzędzie od naszego sąsiada niemieckiego, bo myśmy w sprawie tej wykazali jak dotąd sporo dobrej woli. Przemiany, zachodzące w Niemczech wschodnich, stwarzają życzliwą atmosferę dla rozwoju stosunków sąsiedzkich. Polskie sztandary za Odrą — to forma zbratania dwóch robotników, przedstawicieli świata pracy dwóch narodów

Perspektywa Odry

Każdy z nas, który przebywamy na obszarze żyjącym pod znakiem socjalizmu, tzn. na obszarze obejmującym Związek Radziecki i kraje demokracji ludowych, zapytany, czym żyją te kraje, odpowie odbudową zniszczeń, pracą i dążeniem do pokoju. Chcemy budować własne szczęście własnymi siłami. I chcemy, by to prawo przysługiwało wszystkim narodom. Praca i pokój — oto dominanty symfonii, którą wyśpiewuje tu co dzień rzesza ludzka.

Przypatrzmy się, jakie dominanty przebrzmiewają w krainie niepodzielnego władztwa dolara, w Ameryce; co mówią Amerykanie sami o sobie, o swoim życiu i o swoich celach. A chyba trudno im będzie wierzyć, wszak znają siebie lepiej, niż my ich. A więc po kolei, co mówią Amerykanie na temat:

1. Kto rządzi Ameryką?

„Stany Zjednoczone podlegają w dobie obecnej oligarchii złożonej z 60 najbogatszych rodzin kraju. Stanowią one faktyczny rząd USA, nieoficjalny i niewidoczny: jest to rząd pieniądza i dyplomacji dolarowej. Swoją potęgą przerasta on panowanie arystokracji Ludwika XIV, cara Mikołaja, cesarza Wilhelma i Franciszka Józefa. Ani kardynał Richelieu, ani Metternich, Bismarck czy Disraeli nie mieli większej władzy, aniżeli niekoronowani magnaci Morgan, Andrew U. Mellon, John Rockefeller, Henry Ford i Du Pont. Następne piętro władzy tworzy 90 „gwiazd milionerskich drugiej kategorii" i 350 rodzin „satelitów". To bractwo 500 rodzin ma wyłączny wpływ na „demokratyczny" rząd Trumana. (Ferdynand Lundberg, America's 60 Families. The Citadel - Press, New York, 1946).

Amerykański ekonomista G. Means (The structure of the American Economy) stwierdził ostatnio, że w rękach **„grubej piątki" Morgana, Rockefellera, Du Pont, Forda i Mellona znajduje się 1/3 ogólnej produkcji USA. A według Lundberga „już w 1926 r. 1 procent ogółu ludności zgromadził w swoich rękach 59 procent bogactw kraju. Okres międzywojenny i ostatnia wojna koncentrację bogactw jeszcze fantastycznie powiększyła. Sapienti sat!**

2. Kto i ile zarobił na wojnie?

Wbrew oświadczeniu Rockefellera, że **„pieniądze ma od Boga"**, oficjalny biuletyn Ministerstwa Handlu USA (kwiecień 1946) podał, że zyski amerykańskich kapitalistów wynosiły w latach wojny, po potrąceniu wszystkich podatków i bez uwzględnienia zagranicznych inwestycji, **52 miliardy i 853 miliony dolarów.** Steelman, b. dyr. urzędu do spraw mobilizacji przemysłu wojennego, 1. XI. 46. podał Kongresowi i Prezydentowi Trumanowi do wiadomości, że **„zyski prywatnych przedsiębiorstw po potrąceniu podatków osiągnęły wysokość nie notowaną dotąd w historii".** Zaś organ kół gospodarczych w USA „Economic Outlook" stwierdza: **„W ciągu 6 lat firmy amerykańskie osiągnęły takie zyski, jakie normalnie osiągały w ciągu 14 lat".** Według danych Min. Handlu USA zyski takiej firmy, jak Westinghouse Electric and Manufacturing Comp., wynosiły w 1942 r. 487 milionów dol., w r. 1943 — 700 milionów, w 1944 r. 836 milionów dolarów. Sławetny Kayser, zainwestowawszy 100.000 dolarów w okresie wojennym, osiągnął dochód 44 milionów dolarów. Dwanaście innych doków okrętowych (po inwestycji 22 milionów dolarów) przyniosło zysk 356 milionów dolarów.

Po wojnie zyski kapitalistów nie maleją. Według oficjalnych danych czyste zyski spółek akcyjnych w St. Zjedn. wynosiły w 1946 — 12, w 1947 — 17, a w 1948 — 20 miliardów dolarów.

Czyż można się dziwić, że **„tym ludziom podoba się wojna i pragną nowej wojny"**, jak to powiedział Delacy, członek Kongresu amerykańskiego.

3. Co te rekiny myślą o wojnie?

Nie potrzeba specjalnie podkreślać, że cała nienawiść i taniec wojenny skierowany jest przez tych groszorobów, żywiących się ludzką krwią, przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Jeden z heroldów amerykańskiej i trzeciej wojny, członek Izby amerykańskiej Dorn, 7 maja 1947 w tych słowach streścił doktrynę Trumana: **„Przy pomocy 400 milionów dolarów nie można uporać się ze Związkiem Radzieckim. Można tego dokonać tylko za pośrednictwem silnych, bojowych eskadr lotniczych i przez zbombardowanie potencjalnych ośrodków przemysłowych w ZSRR, okręgu przemysłowego na Uralu i innych punktów".** Niedługo potem dodał: **„Wierzę w taką politykę, według której trzyma się w jednym ręku karabin, a w drugim biblię".** Chyba on nie pierwszy w takim celu posługuje się biblią?

Jego kolega Clarence Cannon, przewodniczący komisji budżetowej Kongresu, w kwietniu b. r., żądając zwiększenia kredytów na budowę olbrzymich bombowców, oświadczył: **„W ciągu tygodnia po rozpoczęciu wojny powinniśmy zbombardować Moskwę i wszystkie inne centralne ośrodki ZSRR. Nie jest konieczne, byśmy tam posyłali naszą armię lądową. W przyszłej wojnie, tak samo jak w ostatniej, użyjemy żołnierzy innych narodów... Niech one posyłają do ognia swoich żołnierzy... Po cóż my mamy posyłać naszych chłopców?"**

Ciekawe, kogóż tym razem przewidział na „mięso armatnie"?! A żadnych komentarzy nie potrzebują słowa konserwatywnego publicysty amerykańskiego Davida Lawrence'a, który, przyznając, że koła rządzące USA nie chcą pokoju i że cała gospodarka amerykańska nastawiona jest na zamówienia wojenne, taki niesamowity okrzyk wydaje: **„Strach ogarnia na myśl, jaki wpływ na naszą gospodarkę miałby wybuch pokoju..."**

4. Co warte słowo Ameryki i plan Marshalla?

Podczas wojny St. Zjednoczone zaznaczały ciągle, że nie mają żadnych żądań terytorialnych. A teraz w związku z przygotowaniami wojennymi zażądały Okinawy, Grenlandii i wielu innych węzłowych i strategicznych punktów. W związku z tym były minister spraw wewnętrznych Roosevelta, Harold Ickes, pisał w „New York Post":

„Jaką wartość ma słowo, dane przez St. Zjednoczone w sprawach stosunków międzynarodowych? Pod pewnymi względami słowo to nie ma większego znaczenia aniżeli traktaty, które od czasu do czasu zawierały z nami różne szczepy Indian".

Politycznym ogniwem (jednym z wielu, lecz najgłośniejszym) przygotowań wojennych jest plan Marshalla. O nim wyraził się Henry Wallace:

„Kapitaliści posługują się planem Marshalla do opanowania rynków światowych. Narzucają oni państwom, uczestniczącym w tym planie, amerykańską politykę gospodarczą. Potentaci z Wall Street przekształcili plan Marshalla w narzędzie ujarzmienia Europy. Ta pomoc Europie kryje w sobie zarodki nowej wojny. I dopóki w St. Zjedn. polityką zagraniczną kierują ... złożony z przedstawicieli Wall Street i wojska, nie można poważnie myśleć o pokoju".

FBI czyli co warta wolność amerykańska?

Federalne Biuro Śledcze (FBI), kierowane przez Edgara Hoovera, już w 1920 zaczęło swą nagonkę na „czerwonych". Na jego rozkaz w tym roku aresztowano w ciągu jednej nocy 6000 robotników. O pracy tego biura w 1940 „New Republic" pisał: **„Hoover zestawił listę pół miliona osób, uznanych za niebezpiecznych z powodu radykalnych przekonań w dziedzinie gospodarczej lub politycznej. Na każde 60 rodzin w St. Zjedn. przypadała jedna osoba zamieszczona na liście... Hoover wyprzedził Himmlera o czternaście lat".**

FBI ustanowiło we wszystkich rządowych instytucjach „specjalistów", „służbę bezpieczeństwa" i „biura wewnętrzne" dla dozorowania lojalności urzędników. Dniem i nocą każdy urzędnik śledzony jest przez agentów, którzy każde jego słowo, każde spotkanie ze znajomymi, przyjaciółmi i kolegami obserwują i notują. W związku z tymi zarządzeniami prezydenta Trumana H. Wallace oświadczył:

„Wszyscy, począwszy od dozorcy poczty na wsi aż po członków gabinetu, są obecnie śledzeni, badani, filtrowani. Przeszłość, teraźniejszość, wszystkie plotki sąsiadów są brane pod uwagę. Oznacza to, że potępiony jest każdy amerykański obywatel, który czyta „niewłaściwe" książki albo słucha audycji radiowych niemiłych polityki, albo myśli „podejrzanie", czyli każdy Amerykanin, który mówiąc o wolności, wolność ma na myśli i który walczy o prawa obywatelskie i o pokój".

Członek Kongresu Kefaur nazwał ten system badania lojalności „nowoczesną hiszpańską inkwizycją", a konserwatywne pismo „Saturday Evening Post" zauważa: **„Widocznie uważa się, że tylko zwolennicy dyktatury Franco są ludźmi godnymi zaufania i patriotami, którzy zasługują na wolność w Ameryce"**, zaś popularny „P. M" ironizuje: **„Gdyby Adolf Hitler przyjechał do Waszyngtonu i ubiegał się o pracę, zostałby poddany gruntownemu przesłuchaniu, aż stwierdzonoby, że nie rozpowszechniał lewicowej literatury i że nie posiada żadnych sympatii dla republikańskiej Hiszpanii... Urzędnicy państwowi żyją w przygniatającej atmosferze trwogi i lęku przed czystką. Wszędzie panuje niepewność, lęk i niepokój... Ci, którzy nie zrobiły te ograniczone i rozhisteryzowane ...by, aby zniszczyć amerykańskie dziedzictwo wolności".**

Tygodnik „Nation" kładzie kropkę nad „i" i pisze tak:

„Waszyngton pod rządami Trumana stał się stolicą zamieszania, ignorancji i reakcji. Ludzie, którzy tam żyją, nie mają żadnych złudzeń, bo widzą na własne oczy, jaką czystkę przeprowadza się we wszystkich instytucjach, nie oszczędzając nawet najbardziej umiarkowanych liberałów.

Jeżeli prez. Truman chce zrozumieć, co to jest państwo policyjne, niech się rozejrzy dookoła siebie, a przekona się, jakich metod typowych dla państwa policyjnego, używa się w stosunku do jego własnych urzędników. Dobrze znają oni strach przed anonimowymi oskarżeniami, a niejeden z nich już uległ pokusie tajnej policji o świcie".

E. S.

KAROL OKOŃSKI

Rozmowa z prałatem

Było to kilka tygodni po pożarze Reichstagu. Siedziałem z prałatem Ulitzką w jego gabinecie na probostwie św. Mikołaja w Raciborzu. Aczkolwiek zagorzali przeciwnicy polityczni, byliśmy poza tym dobrymi przyjaciółmi. Zaś od chwili zdobycia przez Hitlera władzy w państwie, było rzeczą samą przez się zrozumiałą, że spotkali się razem wszyscy jego przeciwnicy, choć z różnych obozów. Wspólne cierpienie jednoczy. Mieliśmy zresztą ważniejsze rzeczy do roboty, niż wypłakiwać łzy w czyjąś kamizelkę.

— Jednego nie rozumiem, panie Ulitzka. Jak mogliście temu Hitlerowi uchwalić pełnomocnictwa? — pytałem nieco podniecony. — Czy Pan nie rozumie, żeście tym aktem podbudowali niejako prawnie jego dyktaturę? Ten człowiek ma teraz w ręku glejt dla wszystkich swych bezeceństw. Wystawiony przez większość „Reichstagu" przy pomocy wszystkich głosów „Centrum". Jest Pan teraz odpowiedzialny przed historią za wszystko, co się dalej stanie.

Prałat siedział przykurczony na swym krześle. Teraz wykonał zmęczony ruch ręką.

— To wszystko powiedziałem sobie i ja także, drogi panie Okoński. W tych dniach walczyłem ciężko ze swym sumieniem. I jeszcze do dziś nie jestem z tym gotowy.

Ulitzka wyglądał w zamyśleniu przez okno. Tam, w ogrodzie, stały drzewa w gęstym listowiu, wszystkimi barwami kwitły kwiaty. Dookoła spokój. Dotąd nie dochodził już hałas miasta. W powietrzu leżało jednak coś innego, upiornie paraliżującego.

Dziwne, jak to wszystko się stało — ciągnął po chwili. — Pan zna przecież sytuację polityczną przed przejęciem władzy. Oczywiście, że „Centrum" miało decydujący głos w Reichstagu. Razem z demokratami, socjaldemokratami i komunistami stanowiliśmy bezwzględną większość zdolną obalić Hitlera prawnie w każdej chwili. Z narodowymi socjalistami i niemieckimi socjalistami (Deutschnationale) zaś byliśmy tą partią, która była w stanie podbudować prawnie nowy system, dać mu ustawową podstawę.

— Wybrał Pan to drugie, zdradzając tym samym swoje dotychczasowe zasady — powiedziałem.

— Jesteśmy w zasadzie tylko partią katolicką, panie Okoński — bronił się Ulitzka. — Od roku 1871 zastępujemy wyłącznie interesy Kościoła Katolickiego w Niemczech.

— Ale stosunki polityczne i społeczne nie są Wam chyba takie obojętne?

— Z pewnością nie. Jednak widzimy je tylko pod kątem widzenia ich użyteczności lub szkodliwości dla naszej wiary, dla Kościoła.

— Ten kąt widzenia wydaje mi się nieco dziwny u starego i doświadczonego polityka, jakim Pan jest.

— Otóż to właśnie! Stąd właśnie konflikt w moim sumieniu. Partia stała, jak Herkules, na rozstajnych drogach. Czy maszerować wspólnie z narodowym socjalizmem przeciwko międzynarodowemu socjalizmowi czy też z Thaelmannem przeciwko Hitlerowi?

— Thaelmann jest już aresztowany i jego partia rozwiązana — wtrąciłem.

— Zapewne, Hitler się nieco pośpieszył. Ale było to sprzeczne z konstytucją. Gdybyśmy wspólnie z socjaldemokratami i demokratami odrzucili wniosek o pełnomocnictwa, stałby Hitler poza prawem i musiałby się nim zająć prokurator Rzeszy.

— Czy byłoby to takie wielkie nieszczęście?

— Z pewnością nie. I ja byłem też za tym. Ale oto przyszły pewne zahamowania. Każda partia polityczna reprezentuje różne poglądy, które jedynie program sprowadza do wspólnego mianownika. W „Centrum" istnieją trzy grupy, które są do siebie właściwie wrogo usposobione — niemiecka pod przywództwem Brüninga, wielkokapitalistyczna Papena oraz rzymska, całkowicie papieska, której przewodzi bawarski prałat Kaas. Dochodzi jeszcze Partia Narodowa jako grupa oddzielna, pod przywództwem prałata Leichta. Są to sprawy, które Pan zna. Wspominam o nich jedynie, by wskazać na międzyfrakcyjne trudności.

Pieniądz jest wszechmocny. A grupa wielkokapitalistyczna dysponuje miliardami. Chociażby tu na Górnym Śląsku ma pan Szaffgotschów, Hohenlohych, Thiele-Winklerów, Bellestremów, Donnersmarcków, księcia na Raciborzu i jak oni się tam nazywają. Na zachodzie panują nad Zagłębiami Ruhry i Saary. Prawie wszystkie dzienniki katolickie Papen wykupił i wprzągł w służbę reprezentowanego przez siebie kierunku. Połknął również „Germanię", nasz organ centralny. Wpływ kierunku kapitalistycznego jest, oczywiście, w partii bardzo silny. Panowie ci są jednak za Hitlerem, ponieważ uważają narodowy socjalizm za najpewniejszą zaporę przeciwko bolszewizmowi.

Tak stały sprawy w chwili zwołania Reichstagu, który miał na celu uchwalenie ustawy o pełnomocnictwach. W celu zaznajomienia nas ze stanowiskiem partii, zwołano na dzień, poprzedzający posiedzenie Reichstagu, wszystkich mężów zaufania z całych Niemiec do Berlina. Prałat Kaas wygłosił przemówienie. Wyjaśniał, że mamy niestety do wyboru jedno lub drugie zło, narodowy lub międzynarodowy socjalizm. Międzynarodowy socjalizm prowadzi jednak z całą pewnością do bolszewizmu. Bolszewizm musimy jednak, choćby tylko jako katolicy, zdecydowanie odrzucić. Watykan jest tego samego zdania. A ponieważ idzie tu o kwestię wiary, miarodajny jest Papież, jako autorytet. Wymagane przez rząd Hitlera wyjątkowe pełnomocnictwa są wprawdzie ogromne, dające dyktatorowi całą władzę do rąk i ograniczające do minimum konstytucyjne prawa Reichstagu. Ale wymaga tego chwila dziejowa. Osoba Hitlera jest już dostateczną gwarancją, że bez skrupułów wykorzysta uzyskane pełnomocnictwa przeciwko lewicy. Interes naszej partii wymaga, by go w tym popierać. Międzynarodowy socjalizm jest bowiem największym niebezpieczeństwem dla Kościoła.

Następnie przemawiał Brüning. Partia stoi tu wobec sprawy, która zadecyduje o jej być lub nie być. Na podstawie swoich doświadczeń doszedł do innego poglądu, niż prałat Kaas. Wypowiedzi prasowe narodowych socjalistów oraz mowy ich czołowych wodzów są tak bezwzględne, tak brutalne, że można się wszystkiego po nich spodziewać. Może być, że Hitler, opierając się o specjalne prawa, które mamy uchwalić, zwróci się najpierw przeciwko międzynarodowym socjalistom. Ale przecież Kościół Katolicki jest także międzynarodowy. Dlatego też jest zupełnie jasne, że zwycięski narodowy socjalizm skończy także z nim. Dziś dają nam ich przywódcy, oczywiście, najróżniejsze obietnice. Nie przyjmują natomiast żadnych zobowiązań. A gdyby nawet dawali, jest wątpliwe, czyby ich dotrzymali.

Dzieje uczą, że idei nie można uśmiercić pałką. On, Brüning, ma więc wątpliwości co do skuteczności rządowych metod, stosowanych przez narodowy socjalizm wobec międzynarodowych socjalistów. Od roku 1919 odsuwaliśmy narodowych demokratów cicho ale skutecznie od rządu. Niebezpieczeństwo komunistyczne nie było duże. I oni daliby się usunąć legalnymi środkami. Wyjątkowe ustawy, wymagane przez Hitlera, usuwają podstawę republiki, konstytucję weimarską. Ta zaś jest najpewniejszą ochroną „Centrum" w Niemczech. W każdym razie bezwzględnie pewniejszą i godną zaufania, niż wszystkie obietnice Hitlera.

Kaas powołuje się na to, że Papież zaleca przyjęcie ustawy o pełnomocnictwach. Jako dobry katolik szanuje on, Brüning, autorytet Papieża. Ale Watykan jest we Włoszech. Z brzegów Tybru wygląda świat nieco inaczej, niż z nad Sprewy. Nie idzie tu zresztą jedynie o spór dogmatyczny, lecz o bardzo istotne sprawy życiowe każdego niemieckiego obywatela. Jak długo stoimy na gruncie weimarskiej konstytucji, jesteśmy podmiotami państwa. Gdy zaś uchwalimy Hitlerowi żądane ustawy wyjątkowo na nieokreślony czas, staniemy się przedmiotami, wydanymi bezprawnie jego samowoli.

Zarówno nasze interesy polityczne i gospodarcze, jak również interesy Kościoła Katolickiego w Niemczech, widziane z dalszej perspektywy, wymagają odrzucenia żądanych pełnomocnictw.

Tak zakończył Brüning. Później głosowano. Większość mężów zaufania przyłączyła się do jego poglądu. Wniosek Kaasa został więc odrzucony. Partia wypowiedziała się przeciwko Hitlerowi.

I wtedy stało się coś, co w dziejach demokratycznej polityki nie ma chyba precedensu. Następnego dnia zwołał mianowicie Kaas, kilka godzin przed decydującym posiedzeniem Reichstagu, konferencję posłów „Centrum". Tu zaklinał starszych panów, by nie stosowali się do wczorajszej uchwały partii i głosowali za ustawami wyjątkowymi. Masa wczorajsza jest ślepa, ale oni, doświadczeni politycy powinni się kierować rozumem, nie tylko uczuciem. Najniebezpieczniejszym wrogiem porządku społecznego a tym samym i Kościoła jest Rosja Sowiecka, urzeczywistniająca w praktyce komunistyczną ideę. Narodowy socjalizm odnosi się do tego zdecydowanie wrogo. Jest rzeczą pewną, że między tymi dwoma przeciwnikami musi dojść do gwałtownej rozprawy. Wspierajmy więc tego, który dla Kościoła przedstawia mniejsze niebezpieczeństwo. Tym samym pomagamy do koncentracji sił, które zniszczą komunizm na całym świecie.

W tym gremium znalazł Kaas niestety więcej zrozumienia dla swego toku myślowego, niż dnia poprzedniego wśród mężów zaufania partii. Siedzieli tutaj przedstawiciele ciężkiego przemysłu, katolickiej szlachty, duchowieństwa, profesorowie, prawnicy. Słowem, prawie wyłącznie ludzie, którzy byli żywo zainteresowani w utrzymaniu kapitalistycznego porządku społecznego. Brüning próbował jeszcze raz przerobić swych kolegów frakcyjnych. Przypomniał dotychczasowe wypowiedzi przywódców nazizmu z otoczenia Rosenberga, ich moralną niepodległość, a wreszcie uchwałę z dnia poprzedniego, wiążącą przecież także dla frakcji.

Daremnie. Stare lisy prawnicze z otoczenia Spahna udowodniły mu, że decyzja mężów zaufania doszła do skutku tylko dzięki przypadkowej większości. Ponieważ głosujący nie zdawali sobie sprawy z dalekosiężności swego postępowania. Frakcja, wyszkoleni politycy, mogą a nawet powinni uchwały ignorować, które stoją w sprzeczności z interesami partii i Kościoła. Niestety, jesteśmy w położeniu przymusowym. Stwórzmy więc starszemu diabłu, Hitlerowi, warunki do wypędzenia diabła — komunizmu. Uchwalmy ustawy wyjątkowe.

Tak zdecydowano. Aby zaś mieć całkowitą pewność, postawił prałat Kaas wniosek o przymus frakcyjny dla tego punktu porządku dziennego. Każdy poseł musiał więc wziąć udział w głosowaniu i głosować za wnioskiem. Nawet wbrew swemu sumieniu. Na to oświadczył Brüning, że będzie głosował przeciwko wnioskowi, mimo przymusu frakcyjnego. Prałat Ulitzka zamilkł. Byłem trochę wstrząśnięty. Po pewnej chwili zapytałem.

— Czy też Brüning dotrzymał słowa?

— Tak, był on jedynym posłem, który głosował przeciwko wnioskowi rządowemu.

— A Pan?

— Czego Pan chce? — odrzekł Ulitzka zmęczonym głosem. — Oto stoi z jednej strony porządek społeczny i nasz Kościół, który na tej podstawie się opiera. Po drugiej stronie zaś jest coś niepewnego, ale stanowczo wrogiego dla Kościoła. Mimo to byłbym jednak głosował razem z Brüningiem. Wiem przecież, że Hitler popełni na podstawie uchwalonych pełnomocnictw mnóstwo zbrodni. I czuję się przed swym sumieniem odpowiedzialny. Ale Kaas wciągnął do sprawy jeszcze autorytet Watykanu. Powoływał się na specjalne życzenie Papieża. A ja jestem kapłanem.

W ten sposób stał się Hitler z łaski Papieża prawomocnym dyktatorem Niemiec. Katoliccy politycy kościelni są zatem współodpowiedzialni za nieszczęścia, które z tego dla świata wyszły. I wydaje się, niestety, że Watykan nawet z tych smutnych doświadczeń niewiele się nauczył.

Karol Okoński.

Polacy awangardą walki o pokój

Wszędzie rozbrzmiewa hasło walki o pokój. Warto tu przytoczyć we fragmentach bardzo znamienny głos naszych Rodaków zza oceanu.

W wychodzącym w Detroit tygodniku p. t. „Głos Ludowy", wydawanym przez Stowarzyszenie „Polonia", czytamy następującą odezwę, uchwaloną jeszcze w dniu 2 i 3 lipca na Krajowej Naradzie Prasowej „Głosu Ludowego".

Odezwa ma tym większą wartość dla nas, że jest to szlachetny głos polski w samym mrowisku podżegaczy wojennych. (wer)

Przyjechaliśmy do Stanów Zjednoczonych jako do kraju upragnionej wolności i zabezpieczenia ekonomicznego. Przeżyliśmy dobre i złe okresy i po wielu latach, po przywyknięciu do nowego życia, gdyśmy wrośli w naród amerykański stając się jego składową częścią, odczuwając jego bolączki i radości — czujemy się odpowiedzialnymi obywatelami, którzy troszczą się o przyszłość Stanów Zjednoczonych.

Na każdym kroku widzimy tutaj dzieła naszych rąk.

Nas, budowniczych Ameryki, trapi obecnie niepokój o przyszłość naszego kraju. W naszej pamięci zbyt żywo tkwią straszne obrazy z okresu drugiej wojny światowej, obrazy ruin i zgliszczy, cierpień niewysłowionych, poniewierki bolesnej milionów ludzi obdartych, głodnych i chorych. Zbyt żywo tkwi w naszej pamięci obraz zrujnowanej Polski i dlatego niepokój o przyszłość Stanów Zjednoczonych jest tym większy...

Nad światem zawisła groźba nowej trzeciej wojny, do której dążą ci, co na wojnie zbijają ogromne fortuny kosztem własnego narodu i narodów całego świata; ci, co chcą wstrzymać pochód postępu społecznego.

Trzecia wojna światowa, którą planują magnaci z Wall Street, byłaby zagładą dla całej ludzkości. Straszliwe bomby atomowe, zdolne spalić beton i żelazo w przeciągu kilku minut, spopielić mogą największe miasta, zrównać z ziemią dobytek i dorobek ludzkich pokoleń i nie zostawić kamienia na kamieniu — oto obraz przyszłej wojny.

Zdając sobe sprawę z okropności przyszłej wojny, uczynić musimy wszystko, co w naszej mocy, by uratować pokój! Razem ze wszystkimi przeciwnikami nowej wojny, razem ze wszystkimi pokój miłującymi narodami — walka przeciw wojnie, która jak gradowa chmura zawisła nad całym światem, może być wygrana. Trzecia wojna nie jest nieunikniona.

Potężne są siły pokoju, wśród których stoi na jednym z pierwszych miejsc naród polski, z którego ród swój wywodzimy. Potężne są siły pokoju, bo w każdym kraju, czy to w Związku Radzieckim, czy to we Francji lub Włoszech, w Anglii, Szwecji, Norwegii, Meksyku, a nawet w Hiszpanii jęczącej pod butem kata gen. Franco, znajdują się milionowe zastępy bojowników o pokój. Hasło: „NIE CHCEMY WOJNY!" — obiega Azję, Afrykę Australię i brzmi coraz donośniej, doprowadzając do obłędu podżegaczy wojennych w Stanach Zjednoczonych, gdzie również wzrasta mocarniejszy z każdym dniem nurt pokojowy.

Musimy sobie jasno uprzytomnić, że tak zwany Plan Marshalla, i ostatnio zmontowany Pakt Atlantycki są stopniowymi, prowokacyjnymi posunięciami w kierunku wojny. Doktryna Goeringa „armaty zamiast masła" — oto podstawa tych posunięć.

Dla imperialistów amerykańskich wzorem stało się postępowanie imperialistów niemieckich, którzy szykując się do podboju całego świata, najpierw zepchnęli swój własny naród na dno bezrobocia i nędzy, zdławili siły demokratyczne we własnym kraju, zaprowadzili faszyzm i potem zastosowali „Blitzkrieg".

Podobnie postępują reakcjoniści amerykańscy, starając się sfaszyzować kraj, aby później móc zastosować „blitzkrieg„ przy pomocy bomb atomowych.

I dlatego przeciwstawianie się faszyzacji jest zarazem walką o pokój!

Do bogatych Stanów Zjednoczonych zbliża się milowymi krokami kryzys ekonomiczny. Grozi nam bezrobocie i nędza.

Za narastający kryzys odpowiedzialna jest powojenna polityka obecnej administracji Doktryna Trumana, Plan Marshalla i Pakt Atlantycki — oto sprężyny kryzysu ekonomicznego.

Dlatego też walka ze zbliżającą się depresją jest zarazem walką o pokój!

Najczarniejsza reakcja amerykańska dobrała sobie do pomocy takich bankrutów, jak Mikołajczyk, Bielecki, Zaremba i innych, do szerzenia propagandy wojennej wśród Polonii amerykańskiej.

Trzeba nam powiedzieć jasno i dobitnie, że nie pozwolimy naszym synom i córkom ginąć na wojnie o przywrócenie do władzy w Polsce Bieleckich, Mikołajczyków i Zarembów.

Polska Ludowa jest naszym najlepszym sprzymierzeńcem i jej będziemy pomagać wszelkimi siłami.

Mikołajczyk, Bielecki i Zaremba oraz Kongres Polonii Amerykańskiej, z owymi obcymi agentami współpracujący, znajdują się na służbie tych sił, które chcą odebrać Polsce ziemie nad Odrą i Nysą. Są oni lokajami magnatów z Wall Street, którzy chcieliby uczynić z Polski kolonię i naród polski zepchnąć do roli kolonialnych niewolników.

Wzywamy wszystkich uczciwych i pokój miłujących Polaków amerykańskich, aby bez względu na różnice polityczne społeczne i religijne stanęli do szeregów bojowników o pokój. Niech naszym największym wkładem dla dobra naszej ojczyzny amerykańskiej będzie zdecydowana walka z podżegaczami wojennymi, **walka o powrót do pokojowej polotyki zagranicznej Roosevelta — walka o trwały pokój.**

Gorzów naukowy

Gorzów poszczycić się może dwoma placówkami, mającymi warunki dużego rozwoju, i mogące przynieść niemało korzyści nauce polskiej. Są nimi (w pełnym tytule): Państwowy Naukowy Instytut Gospodarstwa Wiejskiego, Oddz. Wlkp., Rolniczy Zakład Doświadczalny w Gorzowie oraz Instytut Weterynarii. Pierwszy posiada trzy działy: Chorób roślin — prowadzony przez prof. Zaleskiego, Uprawy i Hodowli roślin — prowadzony przez dr. Słabońskiego i Użytków Zielonych — prowadzony przez inż. Woźniaka. Ma do dyspozycji ogromny kompleks budynków, wspaniałe poniemieckie urządzenia techniczne (częściowo tylko rozszabrowane) i duży areał doświadczalnych pól i poletek. Dzięki uprzejmości dr. A. Słabońskiego zwiedziłam urządzenia doświadczalne przy samym Instytucie.

W olbrzymich halach wegetacyjnych zbudowanych z siatki żelaznej, prowadzone są najrozmaitsze doświadczenia np. z reakcji na długość dnia u roślin, przy pomocy odpowiednich zaciemniających daszków, inne urządzenia pozwalają badać zagadnienia wilgoci, całe poletka na wózkach mogą być ważone na specjalnej olbrzymiej wadze, szklana ściana wbudowana 3 m w głąb ziemi daje doskonały obraz rozrostu korzeni i umożliwia ich badanie. Bardzo ciekawe doświadczenia robione są z jarowizacją zbóż systemu Miczurina i aklimatyzacją ryżu i bawełny. Krzaki bawełny były właśnie w kwiecie, przypominającym kształtem róże, ale ponieważ to już był wrzesień, wątpię czy dojrzeć mogły w tym roku Próbuje się także dokonać krzyżówki ryżu z owsem. Jeżeli w Paryżu nikt z owsa nie zrobił ryżu — może właśnie dokonają tego w Gorzowie. Instytut jeszcze nie jest w pełni rozwoju i wszystkie jego urządzenia techniczne nie są jeszcze w pełni wykorzysane, ale i to, co się robi, jest już interesujące i pożyteczne. Instytut posiada także jedno z najlepiej zaopatrzonych w Polsce muzeum chorób roślin. W zakresie popularyzacji wiedzy Instytut wydaje ulotki, przyjmuje i objaśnia wycieczki, urządza pokazy i kursy.

Instytut weterynarii poszczycić się może jedyną, a rzadką w Europie specjalnością: zakładem chorób pszczół. Prowadzi go znakomity uczony prof. Kirkor, uczeń Margenthalera w Bernie, współpracownik Paillot'a w Lyonie i Battlera w Anglii. Jego to dziełem od podstaw jest obecny zakład. Począwszy od remontu budynku, skończywszy na całkowitym jego urządzeniu, o wszystko wystarał się uczony sam, powróciwszy z zagranicy, a władze szły mu jak najbardziej na rękę. Pytam, co go skłoniło do oddania się tak rzadkiej, a subtelnej gałęzi wiedzy, czy zamiłowania przyrodniczo - filozoficzne, jak Maeterlincka, czy po prostu pasja naukowa?. — Raczej to ostatnie — odpowiada — i okoliczności. Był w wojsku odbył kampanię we Francji, potem znalazł się w Szwajcarii i tu trafił do Margenthalera — to zadecydowało o wyborze specjalności. Ma już za sobą 10 lat badań i 6 prac naukowych, wydanych przeważnie za granicą.

— A dlaczego pan wybrał Gorzów na miejsce swojej pracy?

— Mam tu najlepsze warunki materialne,dużo miejsca i swobody działania, poza tym okolica bogata jest w lipy.

Oglądam teraz małą pokazową pasiekę; wśród grządek najrozmaitszych roślin miododajnych, ustawione są ule wszelkich typów. Pszczoły latają gęsto i tłumnie, obsiadają oczka wyjściowe. Waham się, czy iść w pasiekę, bo nie chcę być pokąsana.

— Niech się pani nie obawia, proszę tylko nie robić gwałtownych ruchów, a pszczoły nic złego nie uczynią. — I rzeczywiście.

Lecz to są pszczoły zdrowe, a mnie interesuje także szpital pszczeli, wyobrażam sobie, że nie ma w nim łóżek i termometrów ale jakże w takim razie wygląda?

— Szpital mamy w innym miejscu, pod lasem, w tej chwili jest leczeniu cała pasieka, a dwie już wyleczone odesłaliśmy na miejsce, Klinika pszczół doświadczalna mieści się w laboratorium. Najczęściej spotykane choroby pszczół na naszym terenie, to zgnilec złośliwy i łagodny, ale obie odmiany choroby polegające na bakteriach, są zarówno szkodliwe i uporczywe. Na mapie w pracowni pokazuje mi profesor punkty zanotowanych w Polsce chorych pasiek. Niestety jest ich bardzo dużo, praca zatem uczonego jest niezmiernie ważna i potrzebna.

Pod wrażeniem pszczelnego Gorzowa i marzeń o miodnym zalewie kraju za lat parę, opuszczam miasto i kieruję się malowniczą drogą, pod ścianą narastających pagórków, na północ, mijam Kłodawę z pięknym jeziorem w dolinie i wjeżdżam w głęboki zwarty las. Kto zakosztował przyjemności jazdy leśnym cieniem, podczas gdy słońce południowe leje nieustanny żar na ziemię, ten zrozumie radość jakiej doznawałam. W lesie drogi zwykle są puste. I kto ma nimi jeździć? Wiewiórka czasem przeskoczy drogę, albo zając myknie. Zieleń ustępuje przede mną, zamyka się za mną, jest wkoło mnie, a ja czuję się równa ptakowi i nawet mój żelazny bucefał o mało nie rży z radości.

Ogromne połacie lasu otoczone są siatką drucianą, to zapewne rewiry myśliwskie, wytyczone jeszcze przez Niemców. Im bliżej Barlinka tym więcej tej siatki, a w końcu u wylotu lasu olbrzymie pole zamknięte tym kosztownym ogrodzeniem, Opowiedziano mi potem jego historię. Przed wojną należały te obszary do bogatego właściciela ziemskiego, jakiegoś junkra, gorliwego myśliwego. Ożenił się bardzo bogato z Brazylijką i cały posag użył na ogrodzenie swoich dóbr, aby zwierzyna z nich nie uszła. Porobił zaś pułapki, przemyślne podkopy, aby zwabiona karmą z obcych rewirów wejść mogła na jego teren, ale stąd się już nie wydostała. Czy to z kodeksem łowieckim było w zgodzie i czy ubijanie zwierzyny zamkniętej to był także sport łowiecki, proszę samemu osądzić. Teraz nie ma dziwika-Niemca, nie ma jednak i zwierzyny. Na terenie mijanego leśnictwa jest tylko 40 sztuk jeleni. Siatki stoją niepotrzebne.

Zdala już widać duże jezioro w Barlinku.

AMELIA ŁĄCZYŃSKA

ZDZISŁAW OBRZUD

Portret Słowackiego

„Portret" utalentowanego autora „Sedanu" posiada niewątpliwie zalety. Hertz dobrze nakreślił obraz epoki, która określiła postać naszego poety w jej najogólniejszych zarysach i wycisnęła piętno na jego twórczości. Posłużenie się marksistowską: dialektyczną metodą pojmowania i wyjaśniania dziejów pozwoliło Hertzowi wyjaśnić pewne sprzeczności w poglądach i dziele literackim Słowackiego, rzucić nieco nowego światła na jego poczucie osamotnienia i bunt, na niepokój, który go pędzi z miejsca na miejsce. Chociaż nie należy zapominać o tym, że pesymizm, ucieczki i samotnicze zamykania się w sobie, czy w ciasnym kółku najbliższych, miały swe źródło także w niedomaganiach organizmu cielesnego poety. Mówili już o tym dawniejsi monografowie autora „Kordiana". Marksistowskie podejście do życia i twórczości Słowackiego umożliwiło także autorowi „Portretu" zrozumienie rewolucyjności nowatorstwa formy poetyckiej autora „*Uspokojenia*" i „*Rozmowy z Piramidami*". Szkoda tylko, że poprzestał jedynie na postawieniu tezy, na bardzo lakonicznym określeniu stylu, czy stylów, Słowackiego za pomocą kilku przymiotników i rzeczowników, bez przeprowadzenia dowodu na przykładach.

Słusznie podkreśla Hertz ważność roku 1848 w życiu autora „Księdza Marka". W okresie dwudziestolecia międzywojennego *Adolf Nowaczyński*, pierwszy akcentował ważność przeżyć Słowackiego w roku Wiosny Ludów i działalności politycznej poety, którego tak długo uważano za zupełnie aspołecznego indywidualistę. Nie wina w tym Hertza, jeżeli pewne porywy romantycznego poety i niektóre poglądy jego, wypowiedziane w roku 1848, zwłaszcza pewne wypowiedzi w sprawie akcji wojskowej, rażą nas dzisiaj swoją naiwnością i zupełną ignorancją spraw militarnych. Różne poglądy Mickiewicza na sprawy polityczne i wojskowe budzą w nas także zakłopotanie. Szkoda tylko, że przedstawiając szczery wysiłek patriotyczny poety w roku 1848, bohaterski zryw człowieka o płucach już przeżartych gruźlicą i stojącego już nad grobem, nie powstrzymał się autor „Portretu Słowackiego" od pewnych wzmianek o mało ważnych szczegółach z życia autora „Genezis z Ducha", które nadają obrazowi jego wysiłków i dążeń charakter groteskowy. Czasem nie udaje się Hertzowi pogodzenie słusznej naukowej dążności do krytycznego ujęcia życia i dzieła Słowackiego z równie słusznym postulatem nieuronienia równocześnie niczego z wielkości autora „Fantazego", która jest faktem dającym się stwierdzić w sposób naukowy.

Z wszelką słusznością wywodzi Paweł Hertz cudaczne nabożeństwo Słowackiego do „liberum veto" i szlacheckich konfederacyj z silnie działającej tradycji szlacheckiego republikanizmu, , *szlachetczyzny* po prostu tego poety, który tak ostro piętnował szlachtę i szlachetczyznę. Bystro zauważa autor „Portretu", że w okresie mistycyzmu utwory poetyckie Słowackiego wykazują większe poczucie realizmu niż utwory sprzed tego okresu — z wyjątkiem, oczywiście, „Króla Ducha". Ten fakt pozornie niezrozumiały tłumaczy się tym, że w okresie żarliwego poszukiwania prawdy i bezwzględnej walki z wszelkimi pozostałościami pychy, samolubstwa i egotyzmu w własnym wnętrzu, zwraca się autor „Księdza Marka" z miłością do świata otaczającego, nie myśląc już o sobie, tylko o drugich i odrzuca wszelki konwencjonalizm literacki; zdecydowanie zrywa z byronistyczną pozą i fałszywą „poetycznością".

Słusznie zaczyna Hertz analizę sporu ideowego Słowackiego z Krasińskim w sprawie postępu i metod rewolucyjnych od omówienia Katechizmu Demokratycznego Krasińskiego. Jeżeli chodzi o formę życiorysu powieściowego Hertza, to cechuje ją umiar artystyczny. Książka jest napisana oszczędnie a pięknie. Autor, zapatrzony wyraźnie w ideały: racjonalistycznej rzeczowości i klasycznej formy, unika wszelkiego patosu i subiektywnego liryzmu. Ten umiar i pewien świadomy, zamierzony chłód nadaje jego opowiadaniu swoisty intelektualny urok. Niektóre rozdziały książki czyta się jak dobrze napisaną powieść, a całość budzi zainteresowanie czytelnika. Mocno wrażają się w pamięć ostatnie zdania ostatniego rozdziału książki, przedstawiające ostatnie chwile wielkiego poety oraz jego śmierć. Tutaj osiąga Hertz dojrzałą zwięzłość i skupienie prawie klasyczne. Przemawia patos samych faktów z sugestywną prostotą opowiedzianych.

Posiada więc „Portret Słowackiego" niezaprzeczalne zalety. Dlaczego tedy, ten „Portret" zostawia w nas poczucie czegoś niedomówionego i nawet czasem zniekształconego właściwego obrazu poety? Czemu niekiedy autor tego życiorysu powieściowego, zamierzonego w poczuciu odpowiedzialności za słowo, zdaje się nam nie mówić prawdy o poecie, o którym nam opowiada? Sądzę, że przyczyny niepełności i błędów portretu namalowanego przez Hertza należy szukać przede wszystkim w zasadniczych brakach i niebezpieczeństwach tego gatunku literackiego, który nazywamy „powieścią biograficzną", czy „życiorysem powieściowym". W tym rodzaju nie trudno zejść na manowce i Hertz także nie ustrzegł się tej biedy. Błędy wynikające z jednostronnego ujęcia i błędy portretu pochodzą z twórczości Słowackiego, które prowokują sprzeciw czytelnika i znawcy przedmiotu. Występują jednak także nieścisłości i błędne, niesłuszne oceny, których nie możemy złożyć na karb słabych stron gatunku literackiego. Te spowodowane zostały brakiem pełnego, epickiego czy naukowego, obiektywizmu u autora życiorysu, który jak gdyby dał się ponieść swym osobistym awersjom w stosunku do pewnych cech psychicznych i pewnego typu dzieł sztuki. Z obowiązku sprawozdawcy zajmę się nieścisłościami i zniekształceniami z obu źródeł.

Wychodząc z chwalebnej dążności do krytycyzmu w stosunku do tych dotychczasowych ujęć przeżyć erotycznych i przyjaźni Słowackiego, które te przeżycia zbytnio stylizowały oraz idealizowały, wpada Hertz w inną, niemniej niebezpieczną ostateczność: niedocenienia pewnych przeżyć i pochopne wyrokowania o przyjaźniach, miłościach i miłostkach poety na podstawie pewnych tylko szczegółów z jego życia, raz nawet na podstawie relacji człowieka mało wiarogodnego. Wspomina pewne fakty i referuje pewne relacje współczesnych Słowackiemu, nawet ich plotki, przy czym nic ciekawego nie dorzuca do naszej dotychczasowej wiedzy o poecie i nie wchodzi głębiej w sedno spraw ludzkich i zagadnień. Sąd swój o przyjaźni młodego Julka z Ludwikiem Spitznaglem urabia Hertz na podstawie relacji Odyńca, który był jednym z najmniej krytycznych bałwochwalców Mickiewicza i plotkarzem o bardzo słabym poczuciu odpowiedzialności. Tak trudno jest coś wiarogodnego powiedzieć o uczuciach i myślach drugiego człowieka, tym większą więc należy zachowywać ostrożność. Mówiąc o planach małżeństwa Juliusza z Marią Wodzińską, przypisuje Hertz poecie pobudki materialne, chociaż nie ma do tego najmniejszych podstaw. Na stronie 66 mówi autor „Portretu":

— „Ale powinniśmy być mu wdzięczni za ten dar wyobraźni, skoro nie miał daru miłości". —

Sądzę, że sprawa uczuciowości Słowackiego jest dużo bardziej skomplikowana niż to przedstawia Hertz w całej swej książce, i że sąd powyższy jest nieuzasadniony. Razi ten sąd w książce, od której oczekiwaliśmy bardziej nowego spojrzenia na poetę. Zbiega się właśnie z popularną opinią o psychozie i typie uczuciowości autora „Złotej Czaszki", której powierzchowność i niesprawiedliwość zauważyli już poważniejsi badacze dzieła i postaci Słowackiego.

W sprawie improwizacji z 25 grudnia oraz walki z „Litwinami" i „katolikami" nie powiedział Hertz nic nowego ponad to, co już stwierdził profesor Kleiner. Dał tylko plastyczną *powieściową* wizję uczty i gry ambicji, próżności i ciasnego uprzedzenia, którą czyta się z wielkim zajęciem. Tu więc tryumfuje epicki, artystyczny talent biografa, nie zaś jego odkrywczość natury naukowej.

Hertz pomniejsza zarówno Słowackiego jak i Krasińskiego, kiedy twierdzi, że autor „Nieboskiej", chwaląc poezję Słowackiego w poznańskim „Tygodniku Literackim", „odpłacał przyjaźń i recenzję „Nocy letniej". Powtarzając kilkakrotnie, że autor „Beniowskiego" był „nieznośnym pyszałkiem", i podkreślając jego dandyzm, a nie ukazując przy tym wcale drugiej strony medalu: istotnej wyższości kultury umysłowej oraz estetycznej autora „Podróży na Wschód" nad poziom jego sarmackiego otoczenia, daje Hertz obraz fałszywy. Kilkakrotnie nazywa Słowackiego „małym szlachetką" i sugeruje tym samym czytelnikowi lekceważenie dla poety, który nie był wcale wolny od dziedzictwa szlacheckiego, był w pewnych swoich poglądach i gestach typowym szlachcicem polskim, ale małym „*szlachetką*" na pewno nie był. Razi także podkreślenie operacji giełdowych Słowackiego oraz jego dokładności w bilansowaniu przy omawianiu czasu, w którym poeta najwięcej gorzał wewnętrznym żarem i najsilniej był oddany sprawie narodu. Tym więcej, że na tle życia i poglądów ludzi ówczesnej epoki: epoki wczesnego kapitalizmu na kontynencie europejskim, jedno drugiemu zupełnie nie przeszkadzało.

Wśród faktów i faktów oraz relacji i gawęd współczesnych poety, niezawsze wiarogodnych, zamazał się portret wielkiego poety tak, że czasem już przechodzi w karykaturę. Ucierpiał przy tym obraz jego twórczości poetyckiej, o której mówi się tutaj w ogóle bardzo mało. Z „*Genezis z Ducha*" załatwia się Hertz bardzo krótko w dwóch zdaniach:

— „Oczywiście *Genezis* nie posiada najmniejszej nawet wartości pod względem naukowym i nie ma nic wspólnego z poprawnym wykładem filozoficznym. Słowacki napisał jeszcze jeden poemat, choć zdawało mu się, że wykrył w tym dziele tajemnice globu." (Str. 154.)

Tego rodzaju krytyka do niczego nie prowadzi. W ten sposób można zakwestionować wartość „Boskiej Komedii", „Raju utraconego", „Fausta", sonetów z cyklu „Nad głębiami", wierszy i poematów o kulturze Norwida, wielu utworów komediowych Shawa i wielu innych utworów literackich. „Genezis z Ducha" w swojej całości artystycznej, w swojej kompozycji, oczywiście tylko artystycznej, poetyckiej, a nie innej, nie posiada wartości naukowej. Na to zgoda. „Genezis z Ducha" nie jest rozprawą naukową ani traktatem filozoficznym, nawet tego starego, metafizycznego typu? Ależ zgoda, oczywiście zgoda! Ale „Genezis z Ducha" jest, jak zresztą i sam Hertz stwierdza, poematem, dziełem sztuki, wobec którego inne stawiamy wymagania metody, kompozycji i formy niż wobec dzieła naukowego i filozoficznego. Ale dzieło poetyckie, od którego nie wymagamy *ścisłej, naukowej argumentacji tez*, może zawierać tezy o naukowej wartości i próbować rozwiązać problemy, które są problemami nauki. Sztuka stawia i próbuje rozwiązywać te same zagadnienia, co jej poważniejsza i surowsza siostrzyca nauka, tylko, że problem ukazuje i argumentację przeprowadza w konkretnej zmysłowej jednostkowej wizji losów ludzi i ziemi. „Genezis z Ducha" nie jest oczywiście dziełem naukowym, jest jednak *dziełem poetyckim o wysokiej wartości artystycznej, w którym zawierają się stwierdzenia, które udowodniło naukowe badanie*. Wiadomo, że *Słowacki znał dobrze teorię descendencji Lamarcka i teorię „katastrof" Curiera i przejął ich tezy naczelne*. Jak to już ukazał *Juliusz Kleiner* w swojej ciągle jeszcze nieprześcignionej monografii o twórczości Słowackiego, oryginalność „Genezis z Ducha" polega na tym, że mamy w niej wysokiej wartości artystycznej poemat o rozwoju świata, ziemi i człowieka, który swoje tworzywo zaczerpnął z osiągnięć i hipotez nauk przyrodniczych. Poematowi nie szkodzi, że wśród stwierdzeń opartych na zdobyczach nauki znajdują się także pomysły i wizje mistyczne nie wytrzymujące krytyki naukowej. Zasadnicza: *ewolucjonistyczna* idea utworu jest ideą zgodną z osiągnięciami nauki. Można nie lubieć poezji metafizycznej; można w imieniu własnym i swojej epoki historycznej odrzucać wszelką metafizykę, także i w poezji. Nie możemy jednak epok minionych mierzyć własną miarą. Musimy oddać sprawiedliwość także i mistycznym poematom epoki, w której panował mistyczny pogląd na świat.

Sądzę, że zniekształcenia „Portretu Słowackiego" wypłynęły z dwóch źródeł: ze zbyt daleko posuniętej chęci walki z upiększającą ojczyźnianą legendą i, w niemniejszym stopniu, z zaniedbania podciągnięcia do rozważań samych dzieł poety. Ten drugi brak wyniknął ze zbytniego liczenia się ze złą tradycją romansu biograficznego. Jakżeż jednak można mówić o funkcji społecznej tak rasowego poety jak Słowacki bez, choćby bardzo zwięzłej, interpretacji jego dzieł poetyckich! Jeżeli ukazujemy wykolejenia się myśli politycznej autora „Samuela Zborowskiego" i „Głosu brata Juliusza, przedstawiającego potrzebę przyjęcia nowej formy konfederacyjnej", z 19 marca r. 1848; jeżeli ujawniamy w bezwzględnym dążeniu do prawdy ludzkie braki i słabostki wielkiego poety, — to musimy równocześnie w pełnym świetle objawić jego wielkość poety i człowieka. Musimy mówić o poezji Słowackiego, bo w jego poezji wyraziło się to, co w nim było najlepsze. Zaniedbanie tej strony zemściło się na książce napisanej z talentem i kulturą.

Zdzisław Obrzud.

* Paweł Hertz: Portret Słowackiego, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1949.

Krótkie spięcia

O teatr w Sosnowcu

Właściwie dlaczego Sosnowiec nie ma mieć własnego teatru?

Tak się bowiem od dwóch lat złożyło, że ni z tego ni z owego Sosnowiec utracił własny teatr, a stał się zwyczajną trzecią, i to dosyć nawet taką rezerwową sceną teatru katowickiego. Miasto to, jak wiadomo, miało swój teatr zawsze, to znaczy przed wojną i kilka lat po wojnie, później jednak tak się złożyło, że nastąpiło sławetne połączenie teatru sosnowieckiego z teatrem katowickim.

Z początku oczywiście sprawa miała wyglądać trochę inaczej, niż wygląda obecnie. Sosnowiec miał właściwie być niejako samodzielną sceną pod dyrekcją katowicką, z tym, że Katowice miały jej patronować pod każdym względem, to znaczy m. in. i pod względem repertuaru (grać swoje sztuki w Sosnowcu i vice versa).

W praktyce jednak wszystko to wypadło inaczej i Sosnowiec stał się po prostu tylko sceną wyjazdową dla teatru katowickiego. Montowano tam wprawdzie i premiery, ale nawet te premiery nie były niczym innym, jak tylko występami gościnnymi teatru katowickiego, który na dany dzień zjeżdżał tutaj ze swym zespołem, dekoracjami itp. i zagrywał, co należało, zaś po przedstawieniu zwijał manatki i wracał do Katowic.

Przez jakiś czas więc Sosnowiec miał pewną namiastkę własnego teatru (chodzi o te premiery), później zaś jednak i to się skończyło, i została już tylko zwyczajna scena wyjazdowa bez żadnych premier i z rzadkimi spektaklami, niemal od wypadku do wypadku.

Dziś z nowym sezonem sytuacja przedstawia się tak, że Sosnowiec taką półstałą sceną wyjazdową, przestał być nolens volens a nawet stał się czymś w rodzaju Grajdołka, gdzie od czasu do czasu, na przykład z okazji jakiegoś większego festynu straży pożarnej, zjeżdża wędrowny „tyjater" (oczywiście jest to tylko porównanie, a nie broń Boże, aluzja do teatru katowickiego).

Można by tutaj rozdzierać szaty i wołać, dlaczego tak jest, i kto za to ponosi odpowiedzialność, że przeszło stutysięczne miasto w Polsce, posiadające wokół siebie szereg innych miast i wielkich osiedli robotniczych, które powinny być stale obsługiwane przez swoje własne centrum teatralne — właśnie nie posiada teatru, ale to nie miałoby wielkiego sensu.

Albowiem sprawa przedstawia się tak, że o ile teoretyczne założenia co do połączenia teatru sosnowieckiego z teatrem katowickim z takich czy innych względów (administracyjnych, repertuarowych, poziomowych itd.) było może słuszne, o tyle w praktyce okazało się to bardzo trudne, a właściwie niemożliwe do zrealizowania w sensie zadowalającym, nawet przy maksimum dobrej woli ze strony dyrektora połączonych teatrów.

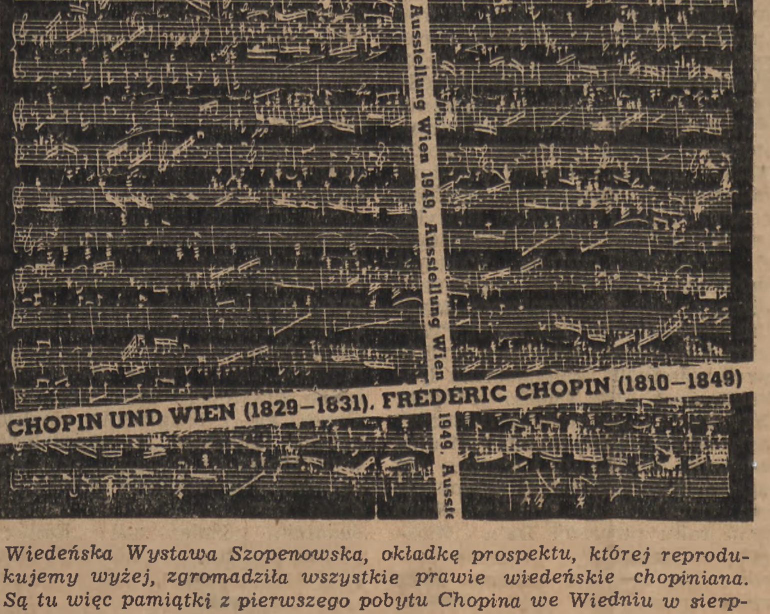
Czas byłby więc ten węzeł gordyjski, który się zawiązał dwa lata temu, przeciąć i dać Sosnowcowi własny autonomiczny teatr. Wszystko przecież przemawia za tym. I niemożność dalszego kontynuowania dotychczasowego konkubinatu, i potrzeby olbrzymiego skupiska zagłębiowskiego, którego poza sporadycznymi wyjazdami do samego Sosnowca, teatr katowicki nie może zaspokoić, no i — było nie było — ostatecznie najoczywistsze prawo samego Sosnowca do posiadania własnego, uczciwego i obsługującego wszystkie Będziny, Dąbrowy, Czeladzie itd. — teatru.

W tym sezonie przeprowadzenie tego rodzaju rozwiązania jest naturalnie niemożliwe, choćby z uwagi na brak wolnych sił aktorskich, ale w przyszłym sezonie trzeba będzie to koniecznie zrealizować.

Bo inaczej oduczymy robotnicze Zagłębie od chodzenia do teatru, którego ono dzisiaj mimo etykiety „Scena w Sosnowcu" właściwie w praktyce — nie posiada.

NIEJAKI X.

Polonica wiedeńskie



Wiedeńska Wystawa Szopenowska, okładkę prospektu, której reprodukujemy wyżej, zgromadziła wszystkie prawie wiedeńskie chopiniana. Są tu więc pamiątki z pierwszego pobytu Chopina we Wiedniu w sierpniu 1829, z drugiego pobytu od listopada 1830 do lipca 1831 oraz echa, które dzieło jego muzyczne budziło we Wiedniu. Materiały te — portrety, listy, autografy i wydania wiedeńskie jego utworów, programy koncertów, fortepian z fabryki Streichera — dopomogły także do opracowania książki „Chopin und Wien", znajdujący się w druku. Na marginesie zaznaczyć warto, że we Wiedniu ukazała się jeszcze za życia kompozytora (w r. 1836) pierwsza jego biografia. Wiedeńska Wystawa Chopinowska — to jeszcze jeden piękny wyczyn propagandowy naszego przedstawiciela prasowego przy misji polskiej we Wiedniu. Znaczenie jej jest ogromne. Ciekawi bylibyśmy stwierdzić jeszcze, jakie echa w prasie austriackiej wzbudził Rok Chopinowski. Wyczekujemy także drugiego numeru „Polonii", po doskonałym pierwszym; tym więcej, że berliński „Blick nach Polen" dotąd do Katowic nie dotarł. (jsz)

ERYK SKOWRON

Dziejowy taniec żagwi

Dwie książki Loerinca Kovai'a

Lörinc Kovai, urodzony w 1912 w Leningradzie, spędził swe wczesne dzieciństwo w szeregach bezprizornych, oderwany od rodziców jako ofiara wojny światowej i wojny domowej. Znalazłszy w 13 roku na nowo drogę do społeczeństwa, ukończył gimnazjum i studiował później historię, geografię i archeologię. W 1939 jest profesorem gimnazjum w Ungvar. Lecz ze względu na stosunki łączące go z ruchem robotniczym, zostaje zwolniony z tej pracy. Od tej chwili zaczyna rozwijać działalność publicystyczną w służbie postępu. W 1943 stoi przed specjalnym sądem Honwedów w charakterze oskarżonego. Zaczyna się okres poniewierki i wędrówek po różnych więzieniach i faszystowskich obozach koncentracyjnych, aż w końcu z zakończeniem wojny i jemu zaświtała jutrzenka wolności.

Mimo swej młodości napisał tyle, że jego dzieła mogą wypełnić pokaźną bibliotekę. Do najznakomitszych jego dzieł należą dwa jego dzieła, o których będziemy pisali: Der Feuerkelch, wydany przez Globus-Verlag w Wiedniu, 1948, str. 784, oraz Fackeltanz, to samo wydawnictwo 1949 , str. 759. Obydwie książki z węgierskiego na niemiecki przetłumaczył Emeric Roboz.

Nie wiem, czy kolejność wydania tych książek świadczy o kolejności ich napisania przez autora. Zastosuję się jednak do tej kolejności, tym bardziej, że przemawia za tym chronologia tematów.

I.

„Der Feuerkelch" (ognisty kielich) dotyczy jednej z wczesnych epok walk wolnościowych w Europie, epoki wszechpotężnego panowania najbardziej obskurańskiego katolicyzmu, epoki „sądów bożych", gdy porządek w Europie opierał się na Kościele i Rycerstwie, scholastyce i feudaliźmie, uosabiających szczyt „mroków średniowiecza". Wtedy to, w czasach odległych od nas o z górą pięćset lat, pod wpływem Wyklifa zaczyna się walka z tymi siłami, na terenie Czech zaś pod wodzą Jana Husa. Mimo czasowego oddalenia tematu książka jest nam niezwykle bliska przez to, że dotyczy tej samej odwiecznej walki między światłem a ciemnością, między reakcją a postępem, między tyranią a dążeniem do wolności, dotyczy tej samej walki klas, jaka w innych warunkach i w tak niebywałych rozmiarach toczy się dziś na naszych oczach, w naszym XX wieku.

Wprowadzeniem do akcji tej powieści, którą wypełniają wojny husyckie - powstanie chłopstwa przeciwko ciemiężącemu je raubritterstwu i klerowi, jest moment sądzenia Jana Husa w Konstancji w 1415 roku, kiedy to w bohaterskim poczuciu swej dziejowej roli, z niezłomnością wielkiego charakteru oświadcza on swoim katom - kardynałom:

„Jestem tylko małą iskierką wielkiej pożogi, której płomień nie zgaśnie nawet wtedy, gdy utniecie mi głowę... Od mego stosu zapali się cały świat". Wie on, że:

„Przyjdzie czas, gdy mury więzień w gruzy się rozlecą. Przyjdzie czas, gdy odpadną wsze kajdany. Przeminą zbytek, nędza, nienawiść i ciemnota... Silnymi staną się słabi. Królów zachwieją się trony, rycerza nie obroni pancerz, i bogaczom nie pomoże złoto ani książętom kościoła Pan — albowiem nadejdzie godzina Sądu! Ziemia się wtedy nie rozpadnie, nie spadną z nieba gwiazdy i nie wystąpią z brzegów morza, lecz z ziemi wzejdzie siła, która wstrząśnie światem od wschodu do zachodu... I zniszczony będzie ten, który z krwawicy biednych napycha swój skarbiec i nie chce widzieć nędzy!.."

I rzeczywiście. Po jego śmierci zapłonęły Czechy „kielichami ognia". Rozgorzał ruch husycki, któremu przewodzi dzielny wódz i organizator Ziszka. „Wśród Husytów zaczęły się rodzić dwa obozy. Gniazdem jednego była przez bogaczy zamieszkana część Pragi. Natomiast szerokie masy ludu gromadziły się na górze Tabor. Niestety samej reformy rytuału kościelnego pogłębiły naukę Husa, napełniając ją treścią społeczną. Do pierwszego obozu należała część czeskiego i morawskiego dworactwa szlacheckiego, bogatych kupców, właścicieli warsztatów rzemieślniczych i mistrzowie cechowi, w drugim jednoczyli się czeladnicy, biedni chłopi, drobna szlachta, studenci i liczna rzesza parobków — ci żądali zniesienia poddaństwa, ucisku, chcieli społecznego równouprawnienia."

Jedna z ich tez głosiła: „Jak na górze Tabor nie ma różnicy między twoim i moim, tak i na całym świecie wszyscy ludzie wszystko wspólnie winni posiadać, i nikt, ktokolwiek by on nie był, nie powinien czegokolwiek nazywać „swoim". Kto zaś majątek posiada, ten popada w grzech śmiertelny". Ci z góry Tabor zwali się „Braćmi" i walczyli o to, by „na świecie nie było królów ni panów ni poddanych ni ściągających podatki, lecz by wszyscy równi byli i braćmi". Gdy do tego dojdzie, wtedy „lud przetrąci gnaty królom, a ziemia będzie do tych należała, którzy są biedni i głodni. Panowie zaś rycerze i szlachta zostaną wytępieni jak chwast".

Kovai'a cechuje iście epicki rozmach, umie pokazać swoich bohaterów jak sam Homer. W tym stylu przedstawiona jest śmierć wodza Taborytów, Ziszki, który „zjeździwszy pola bitwy całej prawie Europy wszędzie unikał śmierci, aż nagle ugodziła go śmiertelnie czarna strzała". Nawet po śmierci chce walczyć „duchem i ciałem" i dlatego rozkazuje swym wojownikom:

„Ściągnijcie skórę z mej piersi — i rozepnijcie ją na werblu wojennym... W ten spsób chcę także po mojej śmierci prowadzić uciśnionych przeciwko ciemiężycielom".

Siła prawdy Husa była tak wielka, że do tych kacerzy przystępowali nawet najdzielniesi i najszlachetniejsi rycerze. Takim był Bogusław Schwanberg, który rozdawszy cały swój majątek między lud i porzuciwszy co miał najdroższego, zaciągnął się pod czerwony sztandar z herbem kielicha. Objął on po Ziszce naczelne dowództwo i zginął również bohatersko na polu walki. Konrad Wechta, arcybiskup czeski odważył się nawet uznać tezy Husa za słuszne i propagować za jego przykładem czeski kościół narodowy.

Mimo wszystko wojny husyckie skończyły się klęską „lewych Taborytów, a „prawi" utrakwiści — jak to zwykle z prawymi rewolucjonistami bywa — znaleźli modus vivendi z szlachtą, cesarzem, papieżem, których władza po tych wojnach wzmocniła się. Jednak posiew walk pozostał. Podjęły je na nowo ruchy reformackie w XVI wieku, a po wielu dalszych próbach toczą się znowu dzisiaj...

II.

Bohaterem drugiej powieści p. t. „Fackeltanz" (Taniec żagwi) jest właśnie inny, późniejszy okres takich walk — W i o s n a L u d ó w w Europie: czasy Metternichów, Guizotów, ich schyłek, czasy Mikołaja i Franciszka Józefa w początkach ich panowania, a więc czasy restauracji, ale również czasy Kossuth'a, Dekabrystów, buntów chłopskich, nowej rewolucji w Paryżu i w Wiedniu, na Węgrzech, jednym słowem czasy, które historia skropliła w pojęciu R O K 1 8 4 8.

Bohaterem są idee, posiane przez Wielką Rewolucję Francuską, zdławione przez Święte Przymierze, szturmujące na nowo szańce absolutnej tyranii w latach 1830 i 1848. Idee, które np. Kossuth w 1847 w takim wylicza porządku: wolność prasy, równouprawnienie narodów, emancypacja nie-chrześcijan, zniesienie poddaństwa chłopów i ciężarów pańszczyźnianych, zniesienie przywilejów szlachty i wyższego duchowieństwa.

Bohaterem są siły społeczne, reakcyjne i postępowe, cesarsko-feudalno - generalskie i chłopsko-robotnicze. Ukazana jest kruchość potęgi opartej na bagnetach i siła rewolucyjnej woli mas.

Powieść ta niby szkła polowe przybliża zjawiska i ludzi Wiosny Ludów z oddali czasu w nasze bezpośrednie pole widzenia. Żywa cielesność zobrazowanej przez Kovai'a rzeczywistości politycznej tej epoki stanowi niezwykle plastyczne i przekonywające uzasadnienie demokratycznych haseł wolnościowych. Prawie każda teza Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela i wiekopomnej deklarcji Marksa i Engelsa przemawia tu ustami żywych ludzi, ich dolą i niedolą społeczną, ich pragnieniem wolności i równości.

Jest to powieść, w której pojedynczy bohaterowie są taką częścią składową całości rewolucyjnych dążeń owych czasów, jak kropla wody jest częścią rzeki wezbranej na wiosnę. Jednostki tylko symbolizują właściwe dramatis personae, którymi są idee wolnościowe ludu i przeciwstawiające się im stare siły. Żagwie rewolucyjne Francji, Włoch, Niemiec, Austrii, Węgier, Polski i Rosji są pojedyńczymi płonącymi szczapami wielkiego pożaru, który ogarnął cały kontynent. Jeszcze zbyt żywiołowy, jeszcze zbyt młodzieńczy, jeszcze za mało świadomy, nie posiadający naukowego oręża swej strategii i taktyki rewolucyjnej, zostaje przemocą zgaszony przez starych speców od rządzenia i likwidowania buntów. Jednak czuje się, że gdy następny huragan rewolucji dmuchnie w to przygaszone ognisko, wtedy sprawa nie będzie tak łatwa, wtedy żadna z sił nie wróci na dawne miejsce, a masa uciskanych i poniewieranych zbliży się o dalszy etap do swego celu.

Książka ta w nieporównany sposób umożliwia poznanie podstawowych zagadnień demokracji i socjalizmu, wolności i sprawiedliwości. Czyni to może lepiej niż niejedna broszura lub rozprawa. W polskiej literaturze nie znajdziemy żadnego jej odpowiednika, książki dającej nam w formie równie łatwej „genealogię teraźniejszości". Może ona się stać wzorem, drogowskazem dla tych polskich powieściopisarzy, którzy posiadając talent nie potrafią znaleźć tego tworzywa, tego tematu polskiego, który by tak jak w książce Kovai'a zanurzył pióro pisarskie w żywiole najbardziej żywotnych spraw i konfliktów współczesnych, ukazywał ich rodowód i perspektywy, rozjaśniał cele walki współczesnej i prostował ich kierunek.

Z książki tej bije niezwykła prawdziwość, prawda życia, zarówno co do ludzi, co do wydarzeń jak i mechanizmu walki rewolucyjnej. Każdy z jej bohaterów jest określonym typem biologicznym i charakterologicznym społecznym i ideologicznym. Wśród rewolucyjnych typów ukazana jest cała gama wszelkich odcieni poglądów, błędów, odchyleń, często zależnych od temperamentu i środowisk, z których się poszczególni bohaterowie wywodzą.

Ileż np. prawdy mieści się w twierdzeniu Kossuth'a, że „lud jest synonimem wolności!". Ileż proroczego wizjonerstwa mieści się w słowach Mirona, skierowanych do Rosjanina Sergeja:

„Ty nie myślisz, mój drogi, nie czytasz historii.. Czyż nie rozumiesz, że masy powstały już nie raz i będą tak długo powstawały, aż osiągną swój cel. To nic, że francuska Wielka Rewolucja została stłumiona. Stłumiono ją tylko pozornie. Rewolucja żyje! Będzie wiecznie żyła!... Przyjdą nowi bohaterowie z brudnych warsztatów i pól... Przyjdzie burza. Już słychać jej pomruki. Zakołysze się świat tysiąca kłamstw... Chcę rewolucji. Rewolucji, w której z kosmiczną siłą zjawi się prawda i wstrząśnie wszelkimi formami, wszelkim mędrkowaniem. Pragnę trzęsienia ziemi, rewolucji, która by była czysta jak rozżarzona stal... Gdy Europa zapłonie chcę być iskierką tego wielkiego pożaru..."

A ileż treści politycznej mieści się w słowach tego samego Mirona, wypowiedzianych w dniach lutowej rewolucji paryskiej, tam na miejscu:

„Mieszczaństwo? Zapominasz, Jacques, że paryski mieszczanin przestał być „citoyen", a stał się „bourgeois"... Prawdziwa rewolucja może wyjść tylko od robotników.

A czyż trzeba coś dodawać do słów Henryka Vaillant (robotnika, który sam mówi o sobie: „mam reumatyzm w nogach, od piętnastu lat stoję przy pracy w wodzie, cały warsztat śmierdzi, smród wżera się w naszą skórę, chłopca naszego nie chce żadna kobieta, gdyż odstręcza ją ten nieznośny smród), gdy wygłasza te programowe zdania:

„Potrzeba nam warsztatów, które nie będą niszczyły nam zdrowia, nie będą odpędzały od nas kobiet. Potrzebne nam są warsztaty jasne, czyste, piękne, ciepłe. W których będzie się nam radośnie pracowało, w których nie będzie rozkazywał fabrykant, lecz my, naród. Potrzeba nam znacjonalizowanego warsztatu!"

III.

Kovai nie jest przeciętnym pisarzem. Jego powieści nie są jałowym, formalistycznym słowolejstwem. Jego powieści kipią żywym, prostym, naturalnym życiem, napęczniałe są konfliktami społecznymi, tchną barwną złożonością tęsknot i pragnień człowieka. Posiada on wyczucie „tego co idzie" i jego związku „z tym co było". Dlatego treść tych powieści jest nam tak bliska. Odpowiadają one wszelkim postulatom realizmu socjalistycznego. Obydwie książki razem wzięte dają wspaniały obraz źródeł wszelkich dawniejszych powstań ludowych, świadczą o drodze, jaką musiały przejść te żywiołowe wybuchy uciemiężonej ludzkości, zanim ze swoich klęsk wypracowały ów niezawodny, zwycięski oręż, jakim jest nauka marksizmu-leninizmu, ów system celów i metod, taktyki i strategii, który uniwersalnie prowadzi „powstanie mas" do zwycięstwa.

Książki te każą każdemu czytelnikowi porównywać nasze czasy z tamtymi. O ile posunęliśmy się naprzód? Jaki postęp osiągnęła sprawa, przed którą stoimy? Czy dojdziemy w dziele, możemy dojść do końca? Jaki jest ów najdalszy cel? Czy damy się i to i pamiętamy? Czy zawiedzione nadzieje szlachetnych bohaterskich walk wolnościowych spośród biednych i w tych ideach pokładali i pokładają?

Wszak musimy się i dziś zgodzić z Kossuth'em, że duch rewolucyjnej masy w Wiedniu, że chodzi o to, „by wolność stała się wspólnym dobrem całej ludzkości" i że „wolność narodów jest niepodzielną całością".

Rzemiosła pisarskiego Kovai'a nie powstydziłby się najlepszy pisarz świata. Przy czytaniu jego książek człowiek musi myśleć o niejednym arcydziele literatury. Może więc i one zostaną zaliczone do nich? Wcale niewykluczone. Jest to pisarz, który wie czego chce, który umie znaleźć właściwy temat, z historii potrafi wybrać to co istotne, prawdziwe, potrafi stworzyć dzieło o wielkim rozmachu. Cechuje go malarska plastyka w przedstawianiu ludzi, krajobrazu, zjawisk, efektowność sytuacji.

ERYK SKOWRON

Diariusz podróży do Warszawy

(Wyjątki z czasopisma „Wiadomości brukowe, czyli rozmowa na placu pod Ratuszem“, Wilno, r. 1817, nr 26 i 28)

Dnia 30 na drodze do Grodna, żona moja zakupiła całą krobkę od Węgrzyna rozmaitych maści, essencyj, ziół i olejków do swojej apteczki.

NB. Żeby nie zapomnieć, trzeba będzie w Warszawie kupić dla niéj Compendium Medicum, na Jasnéy Górze drukowane.

Dnia 31 stanęliśmy w Grodnie. Lubo właśnie w czasie przyjazdu mego przypadła sprawa z kalwinami, nie mogłem jednak nad jeden dzień bawić. Oddawszy tylko wizyty PP. Sędziom i po krótkiéy konferencyi z Xiędzem Prokuratorem, zostawiłem do Palestranta list następujący:

„Mości Panie Podstoli, mój kochany Dobrodzieju i Obrońco! Z przyczyny nagłego mojego odjazdu, nie mogąc się osobiście z WMPanem rozmówić, uwiadamiam go, że wszystko to, cośmy uradzili, wyexekwowałem. Dnia jeszcze wczorajszego upiłem się z Prokuratorem, idąc do poduszki. — Przyrzekł mi, że dwóch sędziów (sodalisów) bierze na siebie, temi nawet dniami a conto sprawy mojéj przyjęci zostali do zasług Zgromadzenia, czego od dawna tak gorąco pragnęli, w wigilią zaś oddania sprawy do namowy, przyszle się im patenta, przy téy okazyi wyciągnie ich znowu X. Prokurator na nowy parol. — Pamiętaj tylko WPan, codzien równie jak oni, bywać na prymarii, a po mszy prowadzić ich na śniadanie do Rektora. Pod starości, człowiek skrupulozus, nie obojętnie jednak przyjął, kiedym deklarował wyjednać mu przywiléj od KJMości na Starostwo, w sąsiedztwie jego położone, ofiarowana zaś funkcya Deputata na przyszłych sejmikach, bardzo saméj Jejmości przypadła do smaku. Dziękowała mi po kilkakroć, upewniając, że mąż wszystko zrobi, czego żądam. — Wiedząc dobrze, że ona mężem rządzi, żeby ją lepiéj jeszcze zobowiązać, ponieważ ma upodobanie w pięknym gatunku bydła, obiecałem jéj z obory mojéy Odrwipolskiéy Brandenburskiego, jakiego tylko sama sobie wybierze. — Z pisarzem trzeba się codzien upić... calculandis calculando... nie ma innego sposobu. — Bierz WPan na mój rejestr u Judela wino, któremu na to szczególną wydałem assygnacyą. Polecam mnie łasce i obronie jego. — Uniżony sługa...“

Upewniony od przyjaciół, spokojny i wesół, zostawiwszy na 25 mszy, żeby Pan Bóg sędziów natchnął i oświecił, opuściłem Grodno.

NB. W liście do mojego Adwokata był jeszcze następujący dopis: „Przypominam sobie, Panie Podstoli, zapytywał mnie Podsędek: dla czego w Xsiędze Ojca mojego komportowanéj, wiele kart nie staje? Odpowiedziałem, że to jeszcze w czasie inkursyi Szwedzi wydarli. — WPan zatém toż samo powiadaj.“

Dnia 1go Czerwca ujechałem bez popasu mil 6, spiesząc jak najprędzéj do Różannego Stoku, dokąd żona moja z córką od dawna się ofiarowały. — Około godziny piątéj przybyliśmy na miéjsce na sam nieszpor i kazanie. — X. Szoiucha, mówiąc gorliwie, lud do płaczu pobudził. Łzy mi się poniewolnie dobywały, patrząc na tyle rozrzewnionych, kiedy słowa kaznodziejskie tak zbawienne okazywały skutki. — Właśnie wówczas naganiał Xiądz półsalopki z kapiszonami, które, jako wymyślone od karcerzy, na prześladowanie kaptuiów zakonnych, sprawiedliwie potępiał. Powstawał potém na rogówki, róże, bielidło, trzewiki z wysokiemi korkami i gorsowanie się, naostatek wyklinał heretyków i wszystkich mających z nimi związki. Tu mi się okropno zrobiło, a przypomniawszy, że w moim dworze znajduje się Fryc Prusak i Johan Saxończyk, młynarz, oba Lutry, postanowiłem zaraz ich oddalić, i nigdy z Niemcami nie mieć do czynienia. — Za jednego niesprawiedliwego, tysiąc czasem sprawiedliwych cierpi. — Boże nas uchowaj od tego! — Po nieszporach poszliśmy do domu, umyślnie dla nas przygotowanego, gdzie XX. Dominikanie honorifi entissime nas przyjęli. — Zaraz po wieczerzy udałem się do spoczynku. Żona moja z X. kapelanem zamknęła się na rekolekcyą a córka z ciotką i pannami z wieczora jeszcze odbyły ćwiczenia duchowne.

Dalsze stronnice Dyariusza w nast. nrze „Odry“.

Podał do druku *B. M. Długoszewski.*

Gabinet Grotewohla

Utworzenie tymczasowego rządu Niemieckiej Republiki Demokratycznej to wyraz niewzruszonej woli demokratycznych sił narodu niemieckiego, przezwyciężenia narodowej biedy i kształtowania losu narodu własnymi rękoma.

Z oświadczenia rządowego Grotewohla.

ULLBRICHT, WALTER, wicepremier, ur. 1893 w Lipsku. Stolarz z zawodu. Czynny w KPD (partia komunistyczna od chwili jej założenia). 1928 członkiem Reichstagu, po roku 1933 pracuje nielegalnie na terenie Berlina, później udaje się na emigrację. Po wojnie współpracuje przy organizacji KPD i związków zawodowych. Inicjator planu dwuletniego.

Dr KASTNER, HERMANN, wicepremier, ur. 1886 w Berlinie. Studiował prawo, jest później docentem prawa państwowego i administracyjnego. W okresie hitlerowskim kilkakrotnie aresztowany za swą działalność adwokacką. Od 1945 przewodniczącym LDP (partia liberalna) i wiceprezydentem sejmiku saksońskiego.

Od niedawna został przewodniczącym prezydium Rady Ludowej.

NUSCHKE, OTTO, wicepremier, ur. 1883 w Frohburgu w Saksonii. Studia w Lipsku i Marburgu. W latach 1921 - 1933 członkiem sejmiku pruskiego. Działacz antyfaszystowskiego podziemia. Od założenia CDU (unia chrześcijańsko-demokratyczna) jest członkiem jej prezydium, później pierwszym jej przewodniczącym.

DERTINGER, GEORG, minister spraw zagranicznych, ur. 1902 w Berlinie. Studiował prawo i ekonomię, pracował w dziennikarstwie. Jest współzałożycielem i generalnym sekretarzem CDU oraz współtwórcą statutu konstytucyjnego nowej republiki.

Dr STEINHOFF, KARL, minister spraw wewnętrznych, ur. 1892 w Herford. Stary działacz socjal - demokratyczny przyczynił się mocno do połączenia obu partii lewicowych. Steinhoff jest premierem Brandenburga i kandydatem biura politycznego SED.

RAU, HEINRICH, minister planowania, ur. 1899 w Stuttgardzie. Pochodzenia robotniczego, od czasów pierwszej wojny światowej należał do lewego skrzydła ruchu robotniczego. W latach 1928—1933 był posłem komunistycznym w sejmiku pruskim. Walczył w Hiszpanii i był przez osiem lat więźniem obozów koncentracyjnych.

Dr LOCH, HANS, minister finansów, ur. 1898 w Kolonii. Po kapitulacji pracował jako prawnik na terenie Turyngii. 1946 był nadburmistrzem miasta Gotha, potem ministrem sądownictwa w Turyngii.

SELBMANN, FRITZ, minister przemysłu, ur. 1898 w Lauterbach (Hesja). Od 1929 był członkiem sejmiku reńskiego a od 1932 aż do Hitlera posłem do Reichstagu. Po wojnie odznaczył się przy odbudowie władz partyjnych KPD/SED.

GOLDENBAUM, ENRST, minister rolnictwa i leśnictwa, ur. 1898 w Parchim. Wielokrotnie aresztowany w okresie hitlerowskim, dostał się w r. 1934 do obozu Neuengamme. Jeden z wykonawców reformy rolnej, dokonanej po wojnie w radzieckiej strefie okupacyjnej.

Dr HAMANN, KARL, minister handlu i wyżywienia, ur. 1903 w Hildesheimie. Studia rolnictwa w Bonn i Berlinie. Po wojnie czynny w okręgu Hildburghausen.

HANDKE, GEORG, minister handlu zagranicznego i zaopatrzenia materiałowego. Ur. 1894 w Hassau nad Menem, od młodości wychowuje się w atmosferze socjalistycznej, był posłem KPD do Reichstagu. Skazany za swą pracę polityczną w r. 1935 na 15 lat ciężkiego więzienia, uwolniony został w roku 1945 przez wojska alianckie. Po wyzwoleniu był zrazu burmistrzem później wojewodą w Plauen.

STEIDLE, LUITPOLD, minister pracy i zdrowia, ur. 1898 w Ulm. W obu wojnach światowych brał udział jako oficer; wzięty do niewoli pod Stalingradem, wziął udział w pracach komitetu narodowego „Wolne Niemcy“. Jest członkiem CDU.

Dr REINGRUBER, HANS, minister komunikacji, ur. 1880 w Wuppertalu. Do czasów hitlerowskich był radcą ministerialnym w ministerstwie komunikacji Rzeszy. Od 1934 wykładał na politechnice w Dreźnie. Nie należy do żadnej partii, jest natomiast działaczem Kulturbundu.

Dr BURMEISTER, FRITZ, minister poczt i telegrafów, ur. 1888 w Wittenberge. W służbie pocztowej widzimy go od r. 1905 bez przerwy. Po wojnie wstąpił do CDU i był ministrem od zagadnień socjalnych w Meklenburgii.

Dr BOLZ, LOTHAR, minister odbudowy, ur. 1903 w Gliwicach. Przewodniczący partii narodowo-demokratycznej. Studiował prawo. Przed hitlerowcami musiał szukać schronienia w Polsce, później w Związku Radzieckim. Po powrocie do Niemiec zajął się pracą publicystyczną i polityczną.

WANDEL, PAUL, min. kształcenia ludowego, ur. 1905 w Mannheimie. Z zawodu technik, od 1920 czynny w ruchu socjalistycznym. Po powrocie z emigracji zaczął od redaktora naczelnego jednego z dzienników, by w 1946 przejść na stanowisko prezydenta akcji kształcenia.

FECHNER, MAX, minister sądownictwa, ur. 1892 w Berlinie. W 16 roku życia styka się z młodzieżą socjalistyczną, przystając później do socjal - demokratów. Do 1933 radcą miejskim w Berlinie i członkiem sejmiku pruskiego. Działalność podziemna zaprowadziła go do obozu koncentracyjnego, z którego uwolniony został w r. 1945.

Zestawiła
Barbara Miłobędzka

Literatura morska
kraju trzynastu mórz i dwu oceanów

W okresie międzywojennym modny był u nas pewien odłam literatury anglosaskiej, który nazywamy popularnie marynistyką, czyli literaturą o tematyce morskiej. Na półkach księgarskich pojawiały się wówczas liczne tłumaczenia powieści Londona, Coopera, Melvilla, Stevensona, nie mówiąc już o Conradzie-Korzeniowskim — pisarzy zresztą niejednokrotnie bardzo wybitnych — oraz jeszcze liczniejsze tłumaczenia bardzo tandetnych i mocno już przestarzałych autorów w rodzaju Sabatiniego z jego „Kapitanem Bloodem“, czy Howden-Smitha z jego sensacyjnym *„Złotem z Porto Bello“*. Rzadziej pojawiały się tłumaczenia z marynistyki francuskiej czy hiszpańskiej, natomiast prawie w ogóle nie docierała do nas bogata twórczość pisarzy rosyjskich czy radzieckich, uprawiających tematykę morską. Pamiętam, że jedyną tego rodzaju pozycją, która wpadła mi przed minioną wojną w ręce, była powieść Nowikowa-Priboja pt. *„Kobieta na okręcie“*. Wywoływało to oczywiście wrażenie u nieuświadomionego czytelnika, że literatura naszego wschodniego sąsiada pozbawiona jest elementów morskich i że dobrą marynistykę posiadają tylko kraje anglososkie.

Kiedy więc po minionej wojnie zaczęły się pojawiać u nas coraz liczniejsze przekłady marynistów radzieckich, zaczęliśmy sobie uświadamiać nie tylko ich nieprzeciętną wartość, ale i sam fakt, że Związek Radziecki jest przecież wielkim mocarstwem morskim, krajem trzynastu mórz i dwu oceanów i że trudno sobie wyobrazić jego literaturę bez motywów morskich.

Dziś wiemy, że literatura morska naszego sprzymierzeńca jest nie tylko najnowszej, radzieckiej daty, ale sięga głęboko korzeniami w przeszłość Rosji. Kraj ten leży przecież na wielkim szlaku wód od Morza Czarnego do Oceanu Lodowatego i od Bałtyku po Ocean Spokojny. Ten fakt musiał już w przeszłości wpłynąć bardzo silnie na rozwój odpowiednich motywów w literaturze rosyjskiej. Rozwijała się ona na podłożu coraz bardziej rosnących przewag morskich Rosji carskiej, zwłaszcza od połowy XVII w. Powstawały wówczas liczne powieści w rodzaju anonimowej *„Historii o rosyjskim marynarzu“* czy *„Wyspy Baranowa“* Iwana Krafta, przedstawiających dzieje zdobywania morskiego szlaku syberyjskiego. Dopiero jednak pierwsza połowa XIX w. przynosi rozkwit tematyki morskiej, w związku z mocnym opanowaniem wybrzeży Bałtyku jeszcze przez Piotra Wielkiego. Z powieścią morską wystąpił wówczas Aleksander Biestużew, piszący pod pseudonimem Marlińskiego. Był to przyjaciel Puszkina i Rylejewa i jeden z wybitnych członków Sprzysiężenia Dekabrystów. Jego książki *„Fregata Nadzieja“* i *„Lejtienant Biełozór“* były swego czasu wybitnymi zjawiskami literackimi i cieszyły się ogromną popularnością. Niemniejszą popularność zyskały około 1850 roku powieści Dala *„Miczman Pociełujew“* i *„Wczasy marynarskie“* — ta ostatnia jako zbiór epizodów z życia carskiej floty.

Jeśli powieści te cieszyły się powodzeniem, to w dużej mierze zawdzięczały one swą sławę nie tylko tematyce, ale przede wszystkim bardzo silnie zarysowującemu się w nich realizmowi, który stał się wkrótce jedna z najznamienniejszych cech literatury rosyjskiej. W tym duchu pisane są już powieści morskie Grigorowicza — np. jego *„Okręt Retwizan“*, Gonczarowa *„Fregata Pallada“* i Pisiemskiego *Szkice z podróży“*. *„Okręt Retwizan“* Grigorowicza — to opis wielkiego rejsu dookoła Europy, podobnie jak i *„Fregata Pallada“* Gonczarowa. Ten ostatni autor opłynął na statku, dokładniej mówiąc, na fregacie „Pallada“ cały niemal ówczesny świat i w swym diariuszu opisał to wydarzenie w niezwykle barwny i realistyczny sposób, podkreślając zwłaszcza ciężką pracę marynarzy, z pochodzenia pańszczyźnianych chłopów. Przepiękne są też we „Fregacie Palladzie“ opisy mórz.

Nie byli jednak wymienieni pisarze marynarzami, ale turystami, obeznanymi za to dobrze z realiami mórz. W miarę jednak rozwoju literatury zaczynają się pojawiać pisarze, dla których morze nie było tylko przygodą, ale ciężką służbą zawodową. Należy do nich przede wszystkim znakomity autor *„Wilka morskiego“* i *„Strasznego dnia“* — Konstanty Staniukowicz. Poczytność jego książek jest do dziś jeszcze bardzo żywa wśród czytelników Związku Radzieckiego. Staniukowicz był oficerem marynarki i synem admirała. Tak zwana „kariera“ stała przed nim otworem. Jednakże Staniukowicz był gorącym demokratą, w rezultacie czego stał się zesłańcem i emigrantem. Społeczne podejście do zagadnień, przedstawienie bez osłonek nad wyraz ciężkiej służby załóg morskich w carskiej flocie, a jednocześnie doskonała znajomość rzemiosła morskiego — oto główne cechy jego twórczości, które przyniosły mu nie tylko sławę, ale i oskarżenia carskiej policji. Zesłany za działalność wywrotową do Gubernii Tomskiej napisał tam ulubioną przez młodzież powieść *„Podróż dookoła świata“*, później zaś *„Ranek“*, *„Pod zwrotnikami“*, *„Mewę“*, *„Zagładę jastrzębia“*, *„W sztorm“* i wiele innych.

Jeszcze ciekawszą postacią w marynistyce rosyjskiej jest, godny następca Staniukowicza, — Nowikow-Priboj. Był on z pochodzenia chłopem z Tomskiej Gubernii i do floty dostał się z poboru. Brał udział w słynnej bitwie pod Czuszimą w r. 1905, którą potem opisał w książce pod tym tytułem. Zdobyła mu ona sławę nie tylko w Rosji, ale i za granicą. W postaci Nowikowa interesuje nas nie tylko wybitny pisarz, ale i człowiek, szczególnie zaś jego awans kulturalno-społeczny. Samorodny talent Nowikowa przechodził wiele faz, od świeżości prymitywu do dojrzałego artyzmu. Będąc samoukiem dźwignął się na poziom pisarski dzięki Gorkiemu i jego sugestii, aby twórczość czerpać z kolektywnej skarbnicy ludowej. I rzeczywiście, twórczość Nowikowa pełna jest jędrnej i bezpośredniej świeżości opisu oraz odbija wyraziście życie ludu, przede wszystkim, oczywiście, marynarzy. Do najlepszych książek Nowikowa, należą, oprócz wymienionej już *„Czuszimy“*, nowelistyczne gawędy zebrane w tomie pt. *„Marynarze“*, zawierające takie nowele jak *„Morze wzywa“*, *„Gawęda bosmata“*, *„W zatoce Otrada“*, *„Komunista w pochodzie“* i *„Kapitan pierwszej rangi“*. Trzy ostatnie opowiadania należą już z ducha i treści do literatury radzieckiej.

Twórczość tego wybitnego marynisty jest jeszcze mało znana w Polsce, toteż z ciekawością oczekujemy tłumaczenia wyboru jego nowel, które mają się wkrótce ukazać nakładem „Książki i Wiedzy“.

Po rewolucji październikowej marynistyka radziecka rozwinęła się jeszcze bujniej. Wpłynęło na to mocne związanie tematyki morskiej z zagadnieniami sopłecznymi, z głębokim wystudiowaniem tła społecznego i człowieka. Dzięki temu marynistyka radziecka jest ściśle związana z życiem i jego przemianami społecznymi, w przeciwieństwie do anglosaskiej, która główny nacisk kładzie tylko na egzotykę i fabułę. Morze w literaturze radzieckiej to nie tylko żywioł przyrody, ale potężny warsztat pracy. Ten charakterystyczny zwrot chociażby w takim kapitalnym dziele, jakim jest wydany niedawno u nas *„Statek Derbent“* Jurija Krimowa. Jest to niezmiernie interesująca i aktualna powieść o współzawodnictwie pracy na statkach Żeglugi Kaspijskiej. Romantyka morza pokazana tu została nie w egzotyce morskiej, ale w osiągnięciach człowieka i poddaniu żywiołu morskiego władzy człowieka. Powieści morskich jest w marynistyce radzieckiej bardzo dużo, żeby wymienić chociażby *„Duszę morską“* Sobolewa, *„Sewastopol“* Małyszkina, *„Optymistyczną tragedię“* i *„My z Kronsztadu“* — Wiszniewskiego, *„Zagładę eskadry“* Korniejczuka, *„Desant“* Furmanowa, *„Samotny biały żagiel“* Katajewa, *„Statek fenicki“* Jana, utwory Grina, Dikowskiego, Sołowiewa i wielu, wielu innych.

Jak zaś docenia się w Związku Radzieckim ten rodzaj twórczości, świadczyć o tym może fakt, że pisarze radzieccy, interesujący się tematyką morską, zgrupowani są w specjalnym stowarzyszeniu czy klubie literacko-morskim pt. „LOKAF“, a głównym organizatorem tego Klubu jest autor *„Duszy morskiej“* Sobolew. Stowarzyszenie to ma charakter pomocy technicznej i fachowej porady przy organizowaniu studiów i wyjazdów morskich.

Ponadto istnieje w Związku Radzieckim specjalne Wydawnictwo Wojenno - Morskie, które wznawia wszystkie cenniejsze pozycje marynistyczne, oraz bieżącą produkcję literacką o tematyce morskiej. W serii tego wydawnictwa ukazała się np. antologia *„Morze w poezji rosyjskiej“*, powieści Aleksandra Biestużewa, Konstantyna Staniukowicza, Grina i innych.

Wiele z tych książek ma się ukazać wkrótce w polskim tłumaczeniu. Jedną z książek morskich Staniukowicza wydać ma także szczecińska spółdzielnia wydawnicza „Polskie Pismo i Książka“ w tłumaczeniu szczecińskiej autorki.

Zapoznanie się z twórczością marynistyczną literatury radzieckiej przyczyni się niewątpliwie do jeszcze lepszego zrozumienia tego kraju, którego brzegi obmywają wody trzynastu mórz i dwu oceanów.

Stanisław Telega.

Z Goethego

NOWY KOPERNIK

(Wiersz napisany podczas podróży wzdłuż Renu)

Zgrabny, szczupły domek mam,
Zaciszne w nim wnętrze.
Wygodnie rozpieram się,
słonko mnie nie piecze.

Okieneczko, pióra sprzęt,
stolik — wiersze płyną.
Tak mi, jakbym sam na sam
obcował z dziewczyną.

Wszak — ci, dziwo! dla mych ócz
kołyszą się bory,
bliżej niosą się przed pierś
dalekie ugory.

Tańczą pełne kopy wzgórz
w urodzie zarośli.
Mało brak a karłów krzyk
dźwięknie najdonioślej.

Chociaż, jeśli w ciszy świat
uwija się obok,
zakrętami czy też wprost,
jest mi bardziej błogo.

Uwija się? Trzeźwo brnę
Kopernika śladem: —
raczej niemo w miejscu tkwi,
jeden ja sam jadę.

Spolszczył
JAN BARANOWICZ

LOTERIA

Na rogu Boulevard Saint Germain i Boulevard Saint Michel w Paryżu — w samym sercu dzielnicy Łacińskiej — jest kiosk z ruletą. Stawka wynosi 20 franków, można postawić na 10 kolorów i liczb. Wygraną ewentualną otrzymuje się nie w gotówce, lecz w — losach. Można zdobyć jedną, dwie, trzy, nawet sześć dziesiątych części („dixiemes“) pełnego losu. Jest to więc loteria w drugiej potędze, sprzedaż losów odbywająca się drogą hazardu. Albo — jeśli wolicie — loteria skrzyżowana z ruletką czy „kołem szczęścia“ ...

Trzeba nielada żyłki awanturniczej, by liczyć na wygraną efektywną w takich warunkach. Wygrać los jest już kwestią szczęśliwego i nieczęstego wypadku; a cóż dopiero wyciągnąć los przynoszący pieniężną wygraną, szczęśliwy! Jeśli postawimy 20 franków na jeden kolor, szanse wygrania „dziesiątki“ wynoszą 1:10, są więc bardzo niewielkie. Jeśli obstawimy takimi dwudziestkami dwa kolory, prawdopodobieństwo zwiększa się do proporcji 1:5, lecz koszt nabycia dziesiątki wzrasta już do 40 franków — podczas gdy w kolekturze wynosi dokładnie 100. Teoretycznie najlepsze szanse ma gracz, obstawiający 5 kolorów (szanse 1:1); wtedy jednak zyskuje tylko w owym — niezwykle rzadkim — wypadku, gdyby wygrana wynosiła nie dziesiątkę, tylko dwie czy więcej „dixiemes“. W rezultacie — ponieważ, jak łatwo się domyślić, właściciel koła szczęścia musi żyć i zarabiać — szanse gracza nabywającego losy w ten sposób są mniejsze, niż tego, który kupuje w normalnym punkcie sprzedaży.

A jednak — rzecz ciekawa — przed ową loteryjną ruletą gromadzą się co wieczór tłumy ludzi. Są wśród nich grupy gapiów, zaciekawionych i sceptycznych. Są tacy, którzy przychodzą popatrzeć jak na widowisko — lecz zwolna, niepostrzeżenie, wciągają się w grę i obstawiają kolory. Są inni, którzy postawią kilka razy pod rząd, przegrywają — i odchodzą, klnąc głośno „magazyn złodziejski“. Ale widziałem też kobietę, już nie młodą, która systematycznie, nieustępliwie, cierpliwie, stawiała 20-frankówki na ten sam ciągle kolor. I przegrywała raz po raz, by wreszcie zdobyć los, za cenę niezliczonej ilości przegranych.

Czym jest loteria dla szerokich rzesz ludności francuskiej? Po trosze zabawą — a po trosze marzeniem o szczęściu. Szanse wygranej są jeszcze dużo mniejsze, niż w owym, opisanym przed chwilą, „kole szczęścia“. W zabawnym filmie „Francois I“ daje aktor marsylijski Fernandel taką oto definicję: „3.000 osób przegrywa po 100 franków, by jeden wygrał milion“. Formuła jest dokładna, ilość losów wynosi 300.000, ilość wygranych około setki, jedna wygrana przypada więc na trzy tysiące przegranych. „W jaki więc sposób“ dodaje zaraz Fernandel „Skarb Państwa zarabia na loterii setki milionów?“ Wyjaśnienie zagadki nie jest trudne. Oto Państwo „inkasuje“ po prostu — wygrane, które padły na losy niewykupione.

Ciągnienie odbywa się w środę wieczór; punkty sprzedaży działają do ostatniej chwili. Wabią one przechodnia na każdym rogu. Może wygram tym razem? A jeśli nie kupię czy nie zaprzepaszczę wielkiej mojej szansy? I tak co tydzień zasypia nabywca losu, pełen słodkich nadziei; pełen planów wspaniałych, z głową wypełnioną obliczeniami, co nabędzie za owe miliony, dla siebie i dla bliźnich. Nazajutrz, z biciem serca kupuje gazetę. Czasem wygrana pada blisko, tuż obok, o kilka zaledwie numerów.

Niektórzy próbują stosować zasady rachunku prawdopodobieństwa. Jeśli kupimy za 300 franków trzy „dixiemes“, zwiększamy swe szanse z 1:3000, na 1:1000. A ponieważ graliśmy już w ubiegłych 10 tygodniach 10 razy, nasze szanse rosną do 1:100 — nie są więc tak rozpaczliwe. Ale matematycy wyjaśnią odrazu, że to obliczenie nie jest trafne. Kolejne granie na loterii w okresie 10 tygodni wcale nie zwiększa szans; kto przegrał 99 razy, nie ma większego prawdopodobieństwa, że wygra w wypadku setnym. Szanse się nie dodają, za każdym razem na nowo podejmuje się ryzyko, na nowo zaczyna się podróż w krainę prawdopodobieństw. Matematyka rozwiewa resztkę nadziei.

Francuzi, którzy grają na loterii, nie próbują liczyć swych szans. Pół — żartem, pół serio, dowierzają raczej przesądom. Zakup losów jest szczególnie wielki w piątek. Nic dziwnego, bo przecież jest to „dzień szczęścia“, jour de chances. Sprzedaż, zwykle niewielka, w ojczyźnie Tartarina, w pięknym i zniszczonym niestety przez wojnę, miasteczku Tarascon — skoczyła nagle pewnego dnia wiosennego. Dlaczego? Gdyż tam właśnie padła wielka wygrana. Uważano widocznie, że padać będą i dalsze.

Czytając niedawno „Kawalerskie gospodarstwo“ Balzaka pojąłem, iż we Francji oddawna stała się już loteria — grą rozpowszechnioną, prawie narodową. Jak wielką rolę odgrywa ta namiętność w potężnym kłębowisku balzakowskiego ludzkiego dramatu! Loteria jest jakby elementem niespodziewanej fantastyki w organizacji francuskiego życia, tak skoordynowanej, systematycznie uporządkowanej, przesyconej trzeźwością, poczuciem zdrowego sensu, pracowitej, rozsądnej ...

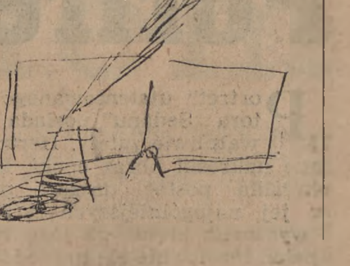
WOJCIECH NATANSON.

Teatr Ziemi Opolskiej



Teatr Ziemi Opolskiej wystawił w ramach Miesiąca Pogłębiania Przyjaźni Polsko-Radzieckiej komedię liryczną Uspieńskiego „Przyjaciele“. Na zdjęciu scena zbiorowa. Fot. Br. Stapiński

Z całego świata



Dzieła zbiorowe wybitnego pedagoga radzieckiego A. S. Makarenki wyjdą w ośmiu tomach staraniem Akademii Nauk Pedagogicznych. Całość ukaże się w ciągu czterech lat i obejmie całkowity dorobek pisarski Makarenki łącznie z jego korespondencją

Radziecka Akademia Nauk opracowała plan wydawnictw naukowych na rok 1950. W porównaniu z rokiem 1949 liczba publikacji zwiększy się o 25 proc. i osiągnie cyfrę 598 dzieł. Samym problemem biologicznym mającym duże znaczenie dla rozwoju gospodarki narodowej poświęconych będzie 100 prac. W planie tym szczególnie dużo uwagi poświęcono wydaniom dzieł klasyków nauki radzieckiej.

Fedor Gładkow wydał pierwszy tom swojej autobiografii pt. „Opowieść o dzieciństwie“. Całość zamierzona jest na trzy tomy. Powstanie tego dzieła wiąże się z Gorkim, który przed 18 laty domagał się od Gładkowa, aby napisał opowieść o swoim życiu dla pokazania młodzieży radzieckiej, jakimi drogami szło życie starszego pokolenia ludzi radzieckich. Z nazwiskiem Fedora Gładkowa związane są pierwsze lata radzieckiej literatury. Ma on za sobą czterdzieści lat pracy pisarskiej a jego powieść „Cement“ była pierwszym artystycznym dziełem o pracy w socjalistycznym państwie. Osiągnęła ona 100 wydań i doczekała się przekładów na wszystkie niemal języki europejskie.

Sezon teatralny na Litwie został już otwarty we wszystkich teatrach. Rosyjski Teatr Dramatyczny zainaugurował go sztuką braci Turów „Willa rodzinna“. Następną premierą była sztuka dwóch młodych dramaturgów P. Gelbaka i I. Kasznickiego o dzisiejszej wsi litewskiej pt. „Tak zaczyna się życie“. Z okazji 32 rocznicy rewolucji wystawiona zostanie opera Karnawicjusza pt. „Grażyna“ napisana według poematu Mickiewicza.

Setną rocznicę urodzin swego wybitnego poety Michała Eminescu (1850—1889) obchodzić będzie w roku przyszłym Rumunia. Uroczystości związane z tą rocznicą odbędą się w całym kraju. Wyjdzie zbiorowe wydanie dzieł tego pisarza, szereg prac historyczno-literackich omawiających jego twórczość, a Ministerstwo Kultury i Sztuki ufundowało stałą nagrodę w wysokości 100.000 lei za najlepszą książkę z dziedziny poezji. Nagroda ta udzielana będzie co roku.

W Timiszoarze, głównym mieście Banatu, zaczął wychodzić miesięcznik poświęcony sprawom kultury i polityki pod nazwą „Banater Schrifttum“. Jest on organem pisarzy rumuńskich piszących po niemiecku. Prócz utworów oryginalnych drukować będzie także przekłady z literatury rumuńskiej, węgierskiej i serbskiej.

A Treasury of Russian Verse (Skarbiec poezji rosyjskiej) — taki tytuł nosi nowa antologia amerykańska poezji rosyjskiej w przekładach A. Jarmolińskiego. Obejmuje ona wiersze od Dierżawina po rok 1947. Wiersze porewolucyjne obejmują około jednej trzeciej antologii. Specjalnie szeroko uwzględniona jest twórczość Puszkina, którego rocznica przeszła poza tym w Ameryce bez echa.

Powieść amerykańskiego Słowaka Tomasza Bella „Dwa światy“ (Out of This Furnace) wyszła w Bratysławie w przekładzie słowackim. Autor czerpie temat z życia emigrantów słowackich w Pennsylwanii, daje obraz ich ciężkiego położenia i walki o lepsze warunki pracy.

Związek Czechów w Ziemi Kłodzkiej powstał w Kudowej. Związek ten prowadzi własny dom kultury i liczy 460 członków. Czechosłowackie Ministerstwo Informacji i Oświaty zaopatrzyło go w bibliotekę. Biblioteki otrzymały też podobne związki w Cieplicach i Strzelinie.

W Wiedniu zmarł Edmund Eysler, światowej sławy kompozytor operetkowy, twórca wielu klasycznych operetek. Eysler był w czasie wojny ostro prześladowany przez hitlerowców. Na wiosnę tego roku otrzymał „Honorowy pierścień miasta Wiednia“.

Międzynarodowa nagroda radiowa uchwalona na zeszłorocznym międzynarodowym kongresie radiowców na Capri została w tym roku przyznana po raz pierwszy. Pierwszą „Premio radiofonico Italia“ w wysokości 20 tys. franków szwajcarskich otrzymała nadana przez radiofonię francuską opera komiczna „Federico generale“, do której muzykę napisał Claude Arrieu, libretto natomiast Jacques Constant. Drugą nagrodę przyznano radiofonii brytyjskiej, trzecią radiu Monte Carlo. Czeska „Komedia na moście“ z tekstem Klicpery i muzyką B. Martinu otrzymała wyróżnienie.

Miasto uniwersyteckie w Kairze wybudowane zostało w ostatnich dwóch latach w jednej z dzielnic miasta. Prócz nowoczesnych mieszkań dla studentów mieści ono biblioteki i placówki skupiające różnego rodzaju pomoce naukowe. Sporo miejsca zajmują tam boiska sportowe wraz z centralnym stadionem.

Karin Michaelis, popularna również i u nas pisarka duńska wydała ostatnio drugi tom swych pamiętników, które przynoszą wiele cennych informacji o okresie największego rozkwitu literatur skandynawskich.

Froszki

NA WIEJSKIEGO GRAFOMANA

Zmienić czas już najwyższy
Działalności pole:
Rzucić niwę (pisarską!),
i uprawiać rolę.

W SPRAWIE ZASADNICZEJ

Rozpoczął z emfazą: „Mój myśli bieg...“,
Nagle ktoś mu przerwał jego mowy tok:
„Przepraszam, pan w błędzie! Jaki znowu „bieg“?
Toż to najzwyklejszy w świecie — żółwi krok!

Wincenty Podkowski.

Wyd. „Czytelnik“, 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry“, Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II piętro. Telefon 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Waryńskiego 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje „Spółdzielnia Wydawniczo - Oświatowa „Czytelnik“. Złożono i odbito w drukarni nr 9, Spółdzielni Wydawniczo - Oświatowej „Czytelnik“, Katowice, 3 Maja 12. Tel. 309-73.
R — 019755